

Cena dla Czechosłowacji Kć. 1-20

Printed in Poland

Nal. poczt. opłacona gotówką

Cena numeru **30** gr.

Żeńskie nastawienie

NIEDZIELA 10 MAJA 1936

ROK IX. Nr. 19. (400)



GÓRNOŚLAZACZKA



I. 1-SZY MAJA W BERLINIE obchodzone jako wielkie święto narodowe, ponieważ brunatne koszule nie zapomnieli, że są stronnictwem narodowo-socjalistycznym i na dzień 1-szy maja wyznaczyły święto państwowe. Obchodzono je z fantastyczną paradą, w której narodowi-socjaliści są mistrzami. Kanclerz Hitler przemawiał najpierw

III. WIELKA POWÓDź nawiedziła zachód Niemiec wskutek podniesienia się poziomu wód w Renie i jego dopływach. Szczególnie silnie uderzyła okolice Mühlheim. Wysokość potężnie wezbranych wód osiągnęła tu poziom obserwowany tylko podczas największych wylewów. Fotografia nasza daje plastyczne o tem pojęcie.



na zgromadzeniu dzieci i młodzieży, której się zebrało do 80 tysięcy. Następnie odbywało się wielkie zgromadzenie na znanym placu w centrum Berlina, Lustgarten, gdzie przemawiał najpierw min. Goebels, potem Hitler, oświadczając, że partja narodowo-socjalistyczna na nowo wychowała ludzi dorosłych, a młodzież ma za sobą. „Teraz my chcemy pokoju, ale niech nikt nie staje nam na drodze. Nie mam potrzeby tępić milionów ludzi po to, aby inne miliony mi uwierzyły. Dziesiątki razy wylągaliśmy rękę do innych narodów — nie złego nie zrobiliśmy nikomu. Tymczasem znowu zaczynają się na nas napaści. Jestem szczęśliwy, że jestem wodzem tak wspaniałego naraodu — i t. d. i t. d.”. Fotografia nasza przedstawia moment, gdy kanclerz Hitler przemawia z wielkiej rybuny, wzniesionej na placu Lustgarten obok potężnych kolumn gmachu muzeum.

II. „SERCE MATKI I SYNA”. Fotografia nasza przedstawia pracę około tablicy marmurowej na grób na „Rossie” w Wilnie, gdzie złożone zostanie serce Marszałka Piłsudskiego i zwłoki Jego Matki.



OSTATNIE DNI — POMPEI

Myśleliśmy, że koniec wielkiej wojny będzie *końcem wojen*. A tymczasem kto wie, czy nie stał się ich początkiem. — Wielka wojna ukazuje się nam jako początek rewolucji, który obejmuje wszystkie dziedziny życia, przede wszystkim moralność. Zachwiała ona całą europejską cywilizacją jako cywilizacją *chrześcijańską*. A kto wie, czy nie jest to wstępem do jej zguby.

Tak ujął sprawę biskup przemyski, który w niedawno wydanym liście pasterskim oświadcza: „*Ucisk powszechny jak morze rozlewa się po całym świecie. Groza wielkich przewrotów wzmacnia się i potężnieje. Wśród ogólnej nędzy i bezrobocia państwa zbroją się gorączkowo na ziemi, na morzu i w powietrzu. Wynajdują coraz straszniejsze w skutkach trujące gazy, sporządzają coraz potworniejsze armaty, sięjące śmierć i pożogę na kilkadziesiąt metrów wokoło. Zważcie: te środki wojenne sposobią ludzi przeciw swym braciom, aby ziemię za-*

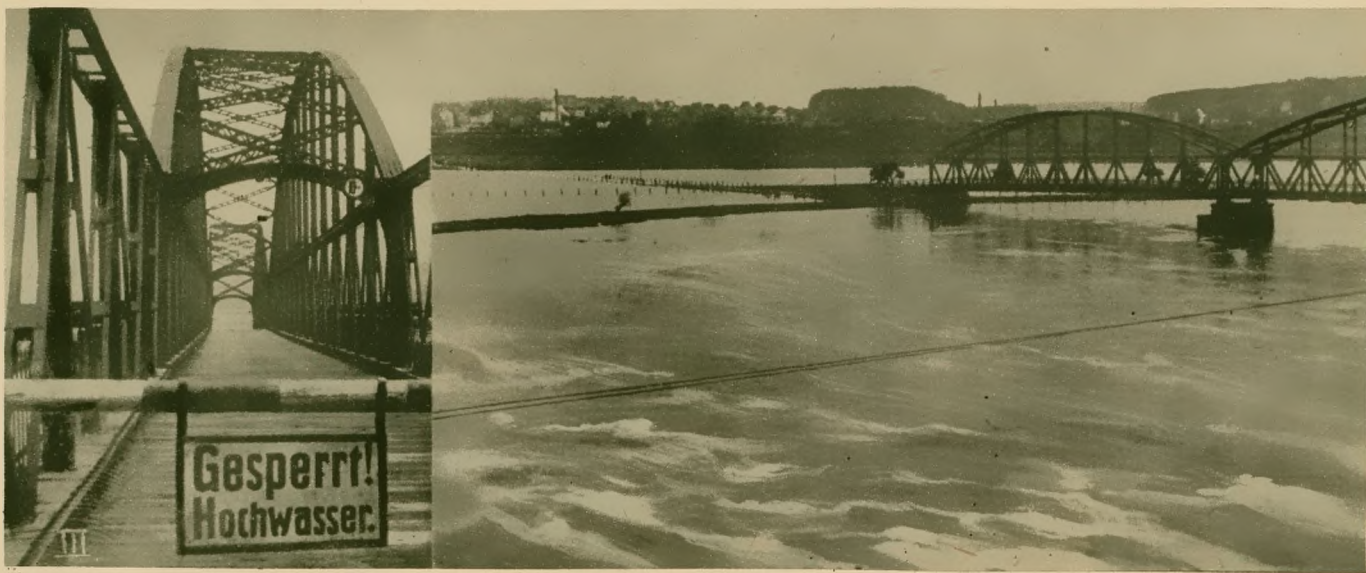
teraz z łatwością dokonywują ludzie. — Osiemnaście wieków temu przyszły na miasto Pompeje „ostatnie dni”, gdy spadł na nie deszcz ognia i popiołu z Wezuwiusza. Do zniszczenia stolicy Abisynji nie trzeba było wulkanu. Wystarczyło samo zbliżanie się groźnej armji włoskiej, aby Addis-Abeba, „nowy kwiat” Abisynji, miasto nie tegie w europejskich pojęciach, ale przecież liczące podobno dwieście tysięcy ludności, legło w ruinach i zgliszczach.

Splonęły w niem najważniejsze budynki. Zrabowano pałac negusa, tysiące żołnierzy zbiegów abisyńskich prowadziło dzieło rabunku i zniszczenia. Tłumy tużemców oblegają poselstwa europejskie. Tak rozwała się w nicość organizacja państwowa, która podobno przetrwała 25 wieków.

Negus wraz z żoną i dziećmi wyjechał z Addis-Abeby koleją, póki jeszcze linja była wolna, do francuskiego Dżibuti. — Poproście uciekł. Czy ratując tylko siebie i rodzinę jako *osobę*, czy też ratując w swej osobie *głowę państwa* przed dostaniem się do niewoli — przyszłość to jeszcze pokaże. W każdym razie faktem jest, że nie sprawuje już władzy. — Nie sprawuje jej zresztą nikt w Abisynji ze strony abisyńskiej: negus złożył wprowadzić władzę w ręce rządu — ale rząd ten w osobach ministrów również wyjechał z Addis-Abeby. Przednie oddziały włoskie stoją pod bramami stolicy. Nie zajmują jej narażenie, ponieważ wódz włoski pragnie zgromadzić większe siły, aby od razu obsadzić nie tylko Addis-Abebe, ale także i okolicę. Wśród ukrywanych deszczów kolumny zmotywowane włoskie podążają naprzód — towarzyszy im 150 samolotów, wypróbowana broń pogromcza przeciwko Abisyńczykom.

Teraz wszystkie możliwości stoją przed Włochami w Abisynji otworem. Zechcą — to mianują „królem królów” rasa Gugse. Albo też marszałek Badoglio zostanie zamianowany „księciem Addis-Abeby”. To znowu mówi się o tem, że *syn Lidż-Jassa*, dawnego cesarza, ma objąć z ramienia Włochów władzę, oczywiście fikcyjną, nad Addis-Abeba. Wreszcie — podobno król włoski ma przybrać tytuł „cesarza Abisynji”, choć los negusa nie zachęca w tym kierunku.

A sam negus oddala się szybko od utraczonego państwa. Przyjęły go z honorami królewskimi władze francuskie w Dżibuti, ale — czempredziej wyprawiły dalej. Podobno jechać ma on na angielskim okręcie wojennym do Palestyny — także teraz nieszczególnie miejsce dla „lwa z pokolenia Judy”, potem do Londynu — lub może na Riwierę. Przed by-



nurzyć we łzach i skąpać w potokach krwi, jakich w swych dziejach nie widzieli. Szusnie odzywają się głosy, że *ludźkość stoi nad przepaścią, której głębokości ani dna dojrzeć nikt nie zdoła*. Do takiego stanu doszła w wieku, który chwali się olbrzymim postępem wiedzy, kultury i wynalazków... Oświata i postęp powinny ułatwiać życie ludziom na świecie. Tymczasem sprawy układają się przeciwnie... *Na drzewie ludzkości ukazują się trujące owoce*...”

To w zakresie zniszczenia, czego przed wiekami mogły dokonać tylko żywioły,

tym królem stoją jeszcze duże możliwości — turystyczne...

Co się tymczasem dzieć będzie w jego kraju? Negus na to już nie może mieć wpływu. Panuje tam kompletna anarchja. *Abisynji grozi głód* — jeżeli rolnicy, którzy porzucili sochy, aby chwycić za dzidy i starożytne strzelby do walki z Włochami, nie powrócą natychmiast do pracy na roli. Ale kto ich do tego nakłoni? Wszak wydaje się pozornie łatwiejszą rzeczą żyć ze strzelbą w ręku bez pracy. Może przyjsz jeszcze do tego paradoksu, że Włosi będą musieli *dożywiać Abisynję*, do której wyprawili się na poszukiwanie „mleka i miodu”, zboża, bydła, kawy, obok złota. Czy dopełniwszy dzieła zniszczenia w imię cywilizacji, podejmą teraz w imię tej samej cywilizacji dzieło samarytańskiego miłosierdzia?

„Oświata i postęp powinny ludziom ułatwiać życie” — mówi mądry biskup. Lecz, niestety, sprawy układają się przeciwnie.”

IV. WŁOSKI MARSZ NA ADDIS-ABE-
BE na kilku tysiącach samochodów przedstawia nasza fotografia. Pochód ten armji włoskiej w przyspieszonym tempie dążącej do stolicy Abisynji, rozciągnął się na 20 kilometrów.

NIEDZIELA MAJOWA W CAŁEJ POLSCE

Wyjątkowo pogodny dzień 3-majowy sprawił, że nie tylko na Śląsku, ale w całej Polsce obchód 3-majowy wypadł wspaniale. — Obok Katowic, w Warszawie i w Krakowie zorganizowano obchody imponujące z udziałem dziesiątek tysięcy uczestników. — Wspaniale wypadła rewja 3-majowa w Warszawie, z której defiladę konnicy przedstawia nasza fotografia I. Na rewji tej byli obecni attache wojskowi państw obcych, których grupę obejmującą attache francuskiego, niemieckiego, węgierskiego oraz Stanów Zjednoczonych przedstawia nasza fotografia III. Z obchodu katowickiego zdjęcia zamieszczamy jako fot. II i IV: pierwsza przedstawia trybunę pod teatrem, na której w pierwszym rzędzie siedzą weterani r. 1863; dru-



Szczególnie wiosną doprasza się cera nasza....

Pierwsze promienie wiosennego słońca posiadają utajoną lecz żywiołową siłę. Skóra nasza, wydłużona ciepłą odzieżą zimową, jest zbyt wrażliwa na działanie wiosennego słońca i wymaga właśnie w tym przejściowym okresie nadzwyczaj troskliwej pielęgnacji.

A zatem nasze wiosenne hasło:

NIVEA i tylko NIVEA!

Pielęgnując zawnaz cerę i ciało Kremem i Olejkiem NIVEA będziemy mogli latem do woli zażywać kąpiele w słońcu i w wodzie, bez obawy przed bolesnym oparzeniem słonecznym. Tylko NIVEA zawiera Euceryt, który uzupełnia naturalny tłuszcz skóry ludzkiej. Do nabycia tylko w oryginalnych opakowaniach po cenach:

Krem NIVEA od zł 0,40 — 2,60
Olejek NIVEA od zł 1,— — 3,50



GROŹNY ZAMĘT W HISZPANII nie ustaje. W szczególności w stolicy trwają dalej rozruchy, skierowane przeciw księżom i klasztorom. — Na przedmieściach Madrytu podpalono 5 kościołów oraz 2 szkoły klasztorne i klasztor franciszkański. — Tłum napadł na kilka mieszkań, między innymi na mieszkanie burmistrza obwodowego i podpalił domy. W kilku punktach miasta przyszło do starć z policją, która odparła atak tłumów na kilka kościołów i zapobiegła ich podpaleniu. Ludność przedmiejska napadła na mieszkańców klasztornych i znanych prawicowców i pobiła ich. 25 ludzi, z których część odniosła ciężkie rany, przewieziono na stacje ratunkowe. Tłumy radykalizowane przeciągają przez miasto i wzywają do strajku generalnego. — W kilku miejscach porzucono już prace przy budowie domów.



ga przedstawia dwóch powstańców śląskich ze sztandarem. Wreszcie malowniczo, jak zawsze, wypadła wielka rewja wojskowa na błoniach krakowskich, z której grupę kawalerji w defiladzie przedstawia fot. V.

Wszystkie te zdjęcia, łącznie z zamieszczonymi przez nas na stronie 7-mej oraz barwnymi ilustracjami śląskimi na str. 8—9-tej, składają się na obraz wyjątkowo udanego tegorocznego święta 3-majowego w Polsce.





II. KONKURS POLSKIE ★ DZIECKO



Z ukazaniem numeru obecnego kończy się głosowanie na najpiękniejsze 10 dzieci spośród uczestników pierwszego konkursu „polskie dziecko”.

W następnym numerze zamieścimy warunki drugiego konkursu „polskie dziecko”, fotografie uczestników którego zaczęliśmy umieszczać już w Nrze 18-tym i umieszczamy obecnie — z 15 interesującymi nagrodami.

Z ANTENY POETÓW

EUGENJUSZ ŻYTOMIRSKI

WIOSNY SAMOTNE

Kipią w mych żyłach wiosny samotne
paków pękaniem świtów rozkwitem —
dnie akacjowe, dnie niepowrotne
we krwi się czają życia niesyte.

W ziemię wdeptane bżowe opady,
niewyśpiewane słowicze trele
w sercu wiosnianym wzbierają jadem,
głodem miłości dzwonią po ciele.

Nienasycenie, nienasycenie —
wiosen samotnych gorzyc piekaca —
świat przed oczyma zasnuty cieniem,
w oczach przymkniętych pragnienie słońca.

Niewyśpiewaną świata urodę,
żarem zgaszonych pragnień zatruty
jakaż odpłatę wezmę za młodość,
dnie przestrojone na drżące nuty?

Jakże przeżyję bezsilnem słowem
wiosny samotne, wiosny stracone?
— Krew się rozogni słońcem majowem,
w wiosnie ostatniej na popiół spłone.

Z TEATRÓW POZNANIA

»TEATR POLSKI«

Poznań, w maju.

Trochę teraz ucichły tak częste niegdyś narzekania na kryzys w teatrach, przynajmniej u nas w Poznaniu. Zdaje się, że kryzys ekonomiczny w teatrach, jakby należał już do przeszłości. (Kryzys literatury teatralnej to zupełnie osobna sprawa). Nie rozchodzą się tak często przed laty wiadomości o rezygnacji tego czy innego dyrektora teatru i o objęciu tej czy innej placówki teatralnej przez zespół. To już ustało, wraz z tem jakby zapomniały się widownie teatrów. Zjawisko to może jeszcze nie jest powszechne, ale w Poznaniu jest rzeczą stwierdzoną. Tak np. Teatr Polski w Poznaniu coraz częściej poszczycić się może „kompletami”, coraz częściej pochwalić się może rekordowym powodzeniem pewnych sztuk. Niestety, nie polepszyło to dostatecznie stanu finansowego tego teatru, który nadal jest dość ciężki z powodu *znacznego obniżenia cen na bilety* — ale, ponieważ równocześnie artyści w rozumieniu ciężkiej sytuacji nie stawiają zbyt wygórowanych żądań finansowych, teatr ten gospodarczo „wiąże koniec z końcem” dla siebie, a artystycznie prosperuje ku zadowoleniu publiczności.

Dyrekcja pozbawiona trosk o niedobory w kasie, zwróciła swe starania na *dobór repertuaru i zespołu*. Jedno i drugie odpowiada nawet dość wygórowanym wymaganiom.

W repertuarze Teatru Polskiego znalazły się, obok arcydzieł sztuki światowej — arcydzieła literatury polskiej naprzemian z wyborem komedij obcych i polskich.

Każda sztuka, którą teatr ten zdecyduje się wystawić, przygotowana jest bardzo starannie, długimi, drobiazgowymi próbami aby, kiedy już dojdzie do premjery, nie było niedociągnięć.

Osobną pozycją w tym teatrze jest dekorator art.-malarz Zygmunt Szpingier, który na maleńkiej scenie tego teatru wystawia niekiedy prawdziwe arcydzieła architektonicznego rozwiązania tej ciasnej przestrzeni. Pod okiem Szpingiera scena ta jakby się rozszerzała i pogłębiała. Jest to mistrz w nowoczesnych urządzeniach wnętrz.

Publiczność teatralna poznańska, która od lat przedwojennych łączy się do tego teatru, ocenia należycie wysiłek zarówno dyrekcji jak i zespołu i daje swój Teatr Polski sympatją i poparciem.

H. S.



Z Teatru Polskiego w Poznaniu: Barbara Ludwiżanka w roli Colette w komedji Denysa Amiela „Trzy asy i jedna dama”.



5—6. India Halina (nr. w Polsce w r. 1929) i Irocema Mirosława (ur. w Brazylii w r. 1933) Sadowskie — Kurytyba, stan Parana w Brazylii.

7. Włodczek Złomanoff — Stolpce, ur. w r. 1930.
fol. M. Mileczon — Stolpce.

8. Krzysia Cholewska — Cieszyn, lat 8.
fol. K. Pietzniera Nasl. — Cieszyn.



Kto zna mękę bezsenności
ten wie, że często pozba-
wiają nas snu zmęczone
i wyczerpane nerwy.

Ziółta Magistra Wolskiego
ze znakiem
ochronnym „PASIVEROSA”
zawierające Passiflorę
(Kwiat Męki Pańskiej), ro-
ślinę o własnościach uspa-
kajających, koją wzburzone
i zmęczone nerwy, łagodzą
ich niedomagania jak ner-
wicę serca, bóle i zawroty
głowy, uczucie niepokoju
oraz sprowadzają krzepią-
cy, naturalny sen, nie po-
wodując przyzwyczajenia.

Wytwórnia:

MAGISTER WOLSKI



Jerzy zawsze twierdził, że to co przedewszystkiem przyciągnęło go do mnie — i teraz jeszcze tak bardzo odróżnia mnie od innych kobiet — to moja śliczna naturalna cera. „Tyle kobiet” mówi on, „ma błyszczące nosy lub grudki pudru”. Oczywiście, że używam pudru do twarzy, ale wygląda on zupełnie naturalnie, ponieważ jest „eteryczny”. Eteryczny puder do twarzy jest dziesięciokrotnie cieńszy i lżejszy niż to zostało kiedykolwiek osiągnięte. Tylko puder utrzymujący się w powietrzu jest zużytkowany. Jest to nowy sposób fabry-

kacji Pudru Tokalon, spreparowanego według oryginalnego francuskiego przepisu znakomitego paryskiego Pudru Tokalon. Dlatego też Puder Tokalon przylega równo i gładko — pokrywając skórę jakby niewidzialną powłoką piękności. Wynikiem tego jest zupełnie naturalnie wyglądające piękno, tak bardzo różniące się od staromodnych pudrów, które nadają wygląd „maquillage'u”. Sensacyjny wynalazek „eterycznego” pudru uczyni przewrót w pojęciach o pudrze do twarzy. Wypróbuj dziś jeszcze.

WIADOMOŚCI Z NIEBA

Już dawno nie poruszaliśmy tematów *niebieskich*, cieszących się takim zainteresowaniem znacznej części naszych czytelników. Nie dziwimy się im zresztą — prawdę mówiąc, to na ziemi teraz niema tak bardzo na co patrzeć. Lepiej więc oderwać od niej oczy i zwrócić je w górę, skąd otrzymywane przez nas wiadomości mówią nam o zjawiskach wielkich, potężnych, groźnych, ale nigdy tak przerażających moralnie, jak wiadomości o zdarzeniach ziemskich, będących czynami ludzkich synów ziemi... A właśnie w ostatnich czasach astronomowie otrzymali z niezmierzonych obszarów wszechświata kilka „depesz”, sygnalizujących rzeczy sensacyjne, nie w kryminalnym sensie, a ciekawe.

OKNO W MLECZNEJ DRODZE

Przedewszystkiem więc wiadomość o tym kosmosie, do którego, jako drobnitka cząsteczka, należy także nasza ziemia, i o pewnych rzeczach poza jego granicą. Rzecz dotyczy Drogi Mlecznej, czyli tej „galaktyki”, która, jak wiadomo, jest *wszechświatem macierzystym* naszego słońca, a której pas srebrzysto-biały na ciemnym granacie nieba możemy obserwować każdej pogodnej nocy. Do tej pory nie można było „przejrzeć” gęstoty jej gwiazd nawet najsilniejszym teleskopem. Lecz oto w ubiegłym tygodniu na posiedzeniu amerykańskiego towarzystwa filozoficznego w Filadelfji, znany uczony, kierownik obserwatorium astronomicznego uniwersytetu w Harvardzie, dr. Harlow Shapley zakomunikował, że udało mu się znaleźć „okno” w Mlecznej Drodze. Okno to znajduje się w południowo-zachodniej części Drogi: jest to przestrzeń zupełnie pusta, wolna od pyłu kosmicznego i przez tę „dziurę” udało się wyjrzeć na „tamtą stronę” Drogi. Widok z tego „okna” astronomowie uważają za ciekawy — choć, jak dla laika, mało urozmaicony. Widać tylko gwiazdy — ale ile, jakie ciekawe, bo zupełnie nowe! Są to *najdalej* od nas z gwiazd do tej pory dostrzeżonych — znajdują się w odległości milionów lat świetlnych. Naliczono tych gwiazd już 150.000 — z nich 147 takich, które dowodnie przewyższają wielokrotnie rozmiarami nasze słońce. A my i od niego ślepiemy — dobrze, że tamte są tak daleko...

NA SŁOŃCU ZIMNO...

Słońce zresztą nie tylko pod tym względem ustępuje wielu innym gwiazdom. Stwierdził to trzech francuscy astronomowie, którzy przez rok cały przebywali w międzynarodowym obserwatorium astronomicznym w Szwajcarii na górze Jungfrau, a teraz zakomunikowali rezultaty swoich czterocząsowych badań. Tych badań specjalnym celem było tylko jedno: *określenie temperatury gwiazd* — oczywiście tych, które w danych warunkach poddały się badaniom. Z tych pomiarów temperatury gwiazdowej, przeprowadzonych metodą spektrograficzną, wynika, że *temperatura bodaj większości gwiazd* (oczywiście na powierzchni) waha się *między 11.000—21.000 stopni*. A nasze słońce na powierzchni ma zaledwie 8.000 stopni ciepła — jest jedną z najmniej „ogrzanych” czy też rozgrzanych gwiazd. Słowem, na słońcu jest zimno...

CO JEST NA MERKURYM Z MERKURJUSZEM?

Oczywiście to zimno na słońcu jest względne: „Jak komu” — można by powiedzieć, gdyby na słońcu było komu o tem mówić. Narazie to ciepło „zimnego” słońca wystarcza, aby dobrze nas przypiekać. I znowu można powiedzieć „jak komu”, bo przecież na Ziemi temperatura 60—70 stopni ciepła jest już nieznośna. To samo jednak słońce ma w swym systemie ciała niebieskie, podobne do naszej Ziemi, których powierzchnię (i domniemanie mieszkańców) przegrzewa i ogrzewa do znacznie wyższej temperatury. Mowa tu o planecie *Merkurym*, planecie najbardziej



„OSTATNI KRZYK MODY” — popołudniowy kostjum „tailleur” (suknia i żakiet) zrobiony z tkaniny celofanowej; pod żakietem bluzka lub dżemper wełniany w barwny deseń.

NA WYŚCIGACH PARYSKICH (stępnnych wyścigach wiosennych w Longchamps), które są zwykle rewją toalet najnowszej mody, ukazały się niektóre panie w kompletach z rzadkiej tkaniny siatkowej, tak rzadkiej prawie jak sieć — sukienka i bolerko z rękawami; bolerko to narzucone na wełnianą bluzkę kamizelkową z rękawami, barwną, zapiętą na jeden guzik z krawatką również wełnianą.

zblizonej do słońca w naszym systemie planetarnym, której temperaturę powierzchni zmierzyl dokładnie niedawno astronomowie w słynnym obserwatorium amerykańskim na Mount Wilson, przy pomocy najnowszych termometrów elektrycznych.

Otóż powierzchnia Merkurego otrzymuje od słońca około 9 razy więcej energii cieplnej, niż Ziemia. Temperatura ta waha się od 270 (najniższa), do 412 stopni ciepła. W tych warunkach na powierzchni Merkurego trudno wyżyć — chyba że życie tamtejszych domniemyanych organizmów byłoby specjalnie do tak wysokich temperatur przystosowane. W każdym razie „po ludzku” myśląc, w normalnym stanie „nie wytrzymują” tam nawet niektóre metale, jak sod, cyna, ołów, które przy takiej temperaturze stale są roztopione: znajdują się one na Merkurym tylko w stanie płynnym. Ma to swą dobrą stronę o tyle, że z takiego płynnego ołowiu, nigdy nie mogącego stwardnieć, nie można zrobić — kul, o ileby nawet domniemyani mieszkańcy Merkurego byli tak marsowo usposobieni, jak domniemyani mieszkańcy Marsa i realni mieszkańcy tej Ziemi, ludzie. Najgorzej jednak z metali „miewa się” na Merkurym jego imiennik — merkurjusz, czyli rtęć, która już przy niecałych 360 stopniach nie topi się (gdyż przecież i na zimno jest płynna) lecz *obraca się w parę*. Wniosek stąd: albo planeta Merkury niesłusznie się tak nazywa, albo metal merkurjusz niewłaściwie otrzymał od niej swą nazwę; na Merkurym merkurjuszu, gdyby nawet kiedyś był, to teraz niema — musiał wyparować. Nadawanie i tworzenie nazw (zresztą nie tylko w astronomji) chodzą czasem dziwnymi drogami.

Trzeba tylko jeszcze jedno dodać: tak wysoka temperatura panuje na Merkurym tylko na jednej jego półkuli, zwróconej ku słońcu (Merkury jest stale obrócony ku słońcu jedną stroną, tak jak księżyc ku Ziemi). Po drugiej stronie, w przeciwieństwie do tego żaru, panuje mrok i zimno: temperatura tam zbliża się do temperatury, panującej w przestrzeniach międzyplanetarnych i międzygwiazdnych, do tak zwanego *absolutnego zera*, czyli do 273 stopni poniżej zwykłego zera.



W OBLICZU MATURY...

Dnia 4 go maja w całej Polsce rozpoczynają się egzaminy maturalne. Tysiące młodych głów, napęczniałych pracowicie a pospiesznie skarbnikami wiedzy, pochyli się nad czarnymi — jak dola maturzysty — ławkami i w pocie czoła tysiące rąk zaczną pisać, pisać, pisać... Skarby wiedzy zamienią się na *bilon* zdań zdawkowych, szablonowych, z konieczności i nieśmiałości. Fantazja, obarczona багаżem mądrości, ciężko poszybuje tuż przy ziemi. Poraz tysięczny Mickiewicz zostanie porównany ze Słowackim, Prus z Sienkiewiczem; *der alte Wilhelm Tell* raz jeszcze zabije tyrana, poczem porównają go z Egmontem, Kordjanem i Wokulskim.

„Głalo“ fizyczne potoczy się po równi pochyłej o ściśle określonym kącie i będzie złowieszczo trzeć się o powierzchnię, wytwarzając energję w *ergach*, którą można będzie zamienić w parę, która, niestety, podlega tyłu prawom, że aż wszystko się miesza w ociekającej potem głowinie...

Objętość *ostroslupa* o *pięciokątnej podstawie*, a wysokości równej *h* i kącie nachylenia *alfa* — przez kilka godzin będzie wbijać się boleśnie w obołąty mózg, póki zbawcza „ściągą“ nie uratuje, bliskiego zwątpienia delikwenta...

Matura! A po maturze — w świat! I szkoła zostanie poza Wami, maturzyści. Odetchniecie z ulgą. Ale za rok, lub za dwa zaczniecie wspominać i — tęsknić.

— A jednak nie było tak źle w tej naszej starej budzie! — powiecie.

Zapamiętajcie sobie (bo może przyda to się wam przy egzaminie z chemji), że *czas jest świetnym rozpuszczalnikiem*: znakomicie rozpuszcza wszystkie stare zmartwienia, świetnie oczyszcza wspomnienia, aż staną się jasne, czyste, lśniące...

Gdy sięgamy myślą wstecz, do lat, spędzonych w murach szkolnych, wszystko wydaje nam się miłe, wesołe, godne westchnienia zazdrości: że tak dobrze było temu blondasowi w mundurku szkolnym, który dziś ma zamiast blond czupryny — *blond łysinę*, zapadłe policzki, wąs załóżnie opadnięty, pięć weksli do płacenia na pierwszego, *opisane* przez komornika meble i *nieopisany ból artretyczny* w lewej nodze...

Wprost wiary dać nie chcemy, gdy spotykamy grubego pana z czarną brodą i dowiadujemy się z jego ust, że jest naszym szkolnym kolegą i siedział w czwartej ławce, a raz podał nam „ściągaczkę“ i zato stał w kącie!!! Ten grubas stał w kącie — nie, to niemożliwe! Wreszcie przypominamy sobie, że był taki jeden, któremu przytrafił się taki *casus*, no, ale tamten był chudy, jak szczerpa i miał 11 lat...

Najlepiej to nasze przywiązanie do wspomnień szkolnych ilustruje następujący, wciąż dobry dowcip: Spotyka się *dwóch panów*; jeden ma *potężną brodę*. Brodacze woła: — A, Kozłowski, jak się masz! Nie poznajesz mnie?? To ja, Oleś Wiśniewski, siedziałem obok ciebie we wstępnej klasie! Zagadnięty marszczy brwi, wreszcie potrząsa głową i odpowiada: — Nie, nie przypominam sobie! U nas *nie było we wstępnej takiego z brodą*...

To też wszelkie zjazdy „byłych uczniów“, „byłych maturzystów“ itp. zawsze są miłym wydarzeniem, gdyż pozwalają nam wrócić wspomnieniami do lat minionych, lat, które nie wrócą, a których szkoda...

Każdy z nas mógłby snuć dziesiątki wspomnień, wspomnień prawie zawsze zabawnych. A więc teraz,

w obliczu matury, przypomnimy kilka *autentycznych* — co trzeba podkreślić — dykteryjek z życia szkolnego, zebranych skrupulatnie i spisanych ku rozweseleniu byłych „Olesiów Kozłowskich“, którzy wtedy nie mieli jeszcze brody i bawili się „w berka“, biegając w krótkich spodenkach...

W pewnej szkole dyrektor miał zwyczaj w przemówieniu na otwarcie roku szkolnego stale powtarzać ten sam dowcip.

— Chłopcy! — mówił. — Pamiętajcie, że należy uczyć się odrazu, od samego początku! Nie odkładajcie pracy! Najgorzej jest odkładać rozpoczęcie solidnej pracy „od najbliższego pierwszego“, bo pierwszego powiecie, że rozpoczniecie pracę „od poniedziałku“, a potem — że zabierzecie się do roboty, gdy pierwszy wypadnie w poniedziałek!...

Dowcip był niezły, ale każdy dowcip naogół podoba się tylko raz. To też przy trzecim identycznym przemówieniu, wszyscy uczniowie wiedzieli doskonale, jak się mowa „dura“ skończy, ale śmiali się na zapas, ku zupełnemu zadowoleniu jowialnego dyrektora. Trzeba jednak pecha, że za czwartym razem „dyr“ zaciął się i utknął przy słowach: „rozpoczniecie pracę od poniedziałku“ — i dalej ani rusz. Widocznie zamyślił się nad czymś. A wtedy stała się rzecz zabawna: jeden z trzecioklasistów *podpowiedział* z przejęciem:

— A potem powiem, że zabierzemy się do pracy, gdy pierwszy wypadnie w poniedziałek!

Wszyscy wybuchnęli tłumionym śmiechem, a „dyr“ mocno się zmieszał...

W innej szkole, w Warszawie, polonista tępił surowo wszystkie błędy językowe.

— Panienki! — rzekł raz. — Panna Zielińska powiedziała przed chwilą: trza. Jest to błąd! Mówi się: trzeba. Nietrza mówić trza, lecz trza mówić trzeba.

W Poznaniu wykladał matematykę niezwykle surowy nauczyciel, były oficer pruskiej armji. Na lekcji tego nauczyciela połowa uczniów stała w ławkach za drobne przewinienia. Pewnego dnia niespodziewanie przyszedł do klasy wizytator. Ze zdumieniem spojrzął na klasę: tylko trzech uczniów siedziało, reszta stała. Gdy wszedł, spytał półgłosem nauczyciela:

— Gdy zbliżałem się do klasy, zauważyłem przez oszklone drzwi, że tylko trzech chłopców siedziało... Dlaczego?

— A... a... — jąka się zmieszany nauczyciel — a, bo zarządziłem krótką gimnastykę dla wytchnienia!...

— No, dobrze. Ale dlaczego, wobec tego, tamci trzej siedzieli?

— Za karę, panie wizytatorze! — odparł przytomnie nauczyciel.

Nauczyciel przyrody w jednym z gimnazjów krakowskich był ogromnie dobry dla swych pupiłów. Pewnego razu, na zoologii, zawołał jednego z uczniów, notorycznego leniucha i zaczął mu perswadować:

— Słuchaj, kochany chłopcze, grozi ci dwója i zostaniesz na drugi rok w tej samej klasie. Jutro zapytam cię. Powtórz sobie ostatnie lekcje. Pamiętaj, zrób to dla mnie! Jeśli sam o siebie nie dbasz, to dla mnie!

Nazajutrz poczcwi nauczyciel „wywołał“ leniucha.

— No, powiesz mi, kochany chłopcze, co wiesz o ośle?

„Kochany chłopiec“ zaczerwienił się i odparł cicho:

— Zapomniałem!

Profesor pokiwał smutnie głową i rzekł z goryczą:



Para kandydatów na dojrzałość.

— A widzisz! Zapomniałeś! To tak pamiętasz o swoim starym, poczcwiym profesorze??!

Ksiądz prefekt w jednym z zagłębiowskich gimnazjów tępił wytrwale *brzydkie wyrazy*, które uczniowie powtarzali z zamiłowaniem i to „po kilka razy“. Raz zastał najstarszego w siódmej klasie dryblas, pochłoniętego lekturą ciekawej książki, który został na pauzie w klasie. Chcąc mu zwrócić uwagę, że w klasie na pauzie zostawać nie wolno, położył mu rękę na ramieniu.

— Odrzucił się ode mnie! — warknął dryblas, nie wiedząc, kto za nim stoi. Ksiądz drgnął, ale nic nie odrzekł.

— No, odjazd, pęta, pókim dobry, bo jak cię strzeli w jadaczkę, to się farbą zalejesz! — krzyknął zirytowany młodzieniec.

Ksiądz wydal okrzyk, pełen zgrozy, a wtedy winowajca obejrzał się i struchlał. Ale tylko przez chwilę, stracił rezon. Po chwili zerwał się z ławki i z promiennym uśmiechem zawołał:

— Oto, jakby się zachował niegrzeczny chłopiec, który nie byłby uczniem księdza prefekta! A uczeń księdza prefekta odpowiada: Proszę cię, kolego, bądź łaskaw mi nie przeszkadzać, albowiem jestem pochłonięty interesującą lekturą, która wydatnie wzbogaci mój głodny wiedzy umysł, przez co mnie uszlachetni!

Ksiądz roześmiał się i na tem „incydent został wy-czerpany.

Może ta garstka wspomnień rozpogodzi twarz maturzystom, którzy, po odbyciu egzaminów pisemnych, z ponurą determinacją „obkuwają“ się do egzaminów ustnych.

Sroga komisja i cztery „maturyczne“ delikwentki.



Przy grypie

przeziębieniu, bólu
głowy i zębów
słusze się Aspirinę
krajowej produkcji.

ASPIRINA



Do nabycia we wszystkich aptekach
CENA za 6 tabletek obecnie już
tylko Zł. 0-90, za 20 tabl. Zł. 2-25

POLSKI MAJ



Weterani i weteranki 1863-go roku na uroczystościach śląskich.



Przemowy gen. Rydza-Śmigłego słuchają, oprócz setk tysięcy tłumów publiczności, przedstawiciele duchowieństwa: ks. biskup Adamski, ks. biskup polowy Gawlina i ks. biskup Bromboszcz.

KWITNIE NA ŚLĄSKU



Główna trybuna na ul. Piłsudskiego, skąd przypatrywały się uroczystościom najważniejsze osobistości (obok ks. biskupa widzimy gen. Rydza-Śmigłego — skraja na prawo woj. Grażyński w mundurze powstańczym).

W dniu trzecim maja, w piętnastą rocznicę trzeciego polskiego powstania na Śląsku, które często przynajmniej tej ziemi przyniosło ostatecznie wyzwolenie, przeżywały wszystkie miasta i osady Śląska z Katowicami na czele wielkie, piękne dni. Rozkwitły domy i ulice niezliczonymi chorągiewkami i sztandarami biało-czerwonymi i biało-niebieskimi — barwy śląskie — rozlała się po górnośląskiej ziemi polska wiosna. Już od soboty przybrał Śląsk cały tę wesołą, radosną i odświętną szatę — a w niedzielę Katowice stały się ośrodkiem olbrzymiej niewidzianych dawno rozmiarów uroczystości. — 80.000 ludzi przybyłego ze wszystkich stron Polski, a przede wszystkim z całego Śląska zgromadziło się na ulicach Katowic. Szły organizacje różnego autoramentu: wojsków-powstańców, górnicze, harcerskie, wiejskie, kobiece — maszerowały zastępy, którym końca widać nie było. Na trybunach znaleźli się dostojnicy państwowi z generalnym inspektorem sił zbrojnych gen. Rydzem Śmigłym na czele i przedstawiciele duchowieństwa w osobach biskupów. Gen. Rydz Śmigły wygłosił znamienne przemówienie, zwrócone do wszystkich, a przede wszystkim do powstańców śląskich, w którym między innymi powiedział:

„Dziś Polska nie apeluje do waszych karabinów. W tej chwili nie trzeba nam tego. Ale chociaż niema potrzeby, chociaż nikomu nie chcemy narzucić wojny, chcąc żyć w spokoju, trzymając silnie to, co do nas należy, to jednak trzeba pamiętać, że musimy być tak silni, ażeby wojna przeciw nam była niebezpieczna i groźna”.



Gen. Rydz-Śmigły przemawia przed mikrofonem.



Towarzystwo Polek górnośląskich przed wojewodą.

PO RUINIE 3 CESARZY

naja, że ziemie te i ludność były słowiańskie... A Śląsk był *polaki*. Nietylko do tej linii, na której dziś, po plebiscycie, zakreślono mu ciasne granice, ale był polski daleko na zachód, a stolicą jego był Wrocław, który jako żywo przez Założycieli nie został nazwany Breslau. Księstwem wrocławskim rządził Wielisław, potem Krzywousty, a Władysław II był „wielkim księciem Śląska i Krakowa”. Piastowie i Piastowicze rządzili krajem zaludnionym przez lud polsko-śląski, który na zachodzie krewił się z Łużyczanami, na południe z Czechami, ale nigdzie z Niemcami...

A jednak... Napierały od zachodu to zwolna, to skokami, ale nieubłagane fale niemieczyny. Można by raczej powiedzieć, że z początku nie były to fale — były raczej małe strumienie germańskie, które zwolna przesaczyły się na Śląsk, niemcząc go „od góry”: germanizowały dwory książąt, klasztory, kościoły. Kupcy osadzeni przez książąt po miastach dla zysków. Po miastach tworzą się wyspy niemieckie, które oddziaływały na najbliższe otoczenie.

Piastowicze „wysprzedają się” to Niemcom, to Czechom; na tem ostatniem końcu też zyskuje niemieczyna, bo wraz z całymi Czechami stają się śląskie ziemie dziedzictwem Austrii. Nie pozostają jednak zbyt długo w jej rękach. — Kierowany węchem doświadczonego starego łupieżcy, jakby przeczuwając w głębiach ziemi śląskiej nieprzebrane bogactwa, a w każdym razie nie gardząc temi, co już były widoczne na jej powierzchni — Fryderyk prowadził z Austrią aż trzy „wojny śląskie” (ostatnia siedmioletnia), które w końcu oddają w ręce Prus prawie cały Śląsk. Zaczynają się rządy niemiecko-pruskie na tej ziemi: najpierw bogactwa się tylko Prusy *praca* śląskiego ludu, zabierając mu wszystko co wytwarzał, zarówno na powierzchni ziemi, jak wydzierał z głębi jej łona. Potem postanawiają nietylko z ziemi, lecz i z ludu tego utworzyć „odwiecznie niemiecką” dziedzinę.

Pomnik powstańców śląskich w Chorzowie, odsłonięty w dniu 3 maja 1928 r. — piękna tablica brązowa na pomniku.

Nie było niegdyś na starym Śląsku żadnej granicy między Polakami i Niemcami: nie było tu wogóle Niemców. Od wieków siedziały tu obok siebie i stykały się ze sobą dwa bratnie słowiańskie narody; od wschodu *Polacy*, od zachodu *Serbowie Łużyccy*, których siedziby sięgały hen, daleko tam, gdzie dziś Saksonja, a dalej na północ tam, gdzie dziś Berlin i Poczdam. Rezydencja założyciela państwa pruskiego i potęgi pruskiej „wielkiego” Fryderyka, leżała wśród siedzib ludu, którego mowa tak stosunkowo mało różniła się od polskiej, że po dziś dzień można się z niektórymi „Wendami”, siedzącymi nad Szprewą, których „malownicze stroje” są chlubą „niemieckiego” artystycznego folkloru, od biedry rozmówić po polsku. W Poczdamie nazwiska właścicieli sklepów a nawet niektóre nazwy ulic — jak na przykład ulica „Na Dole” — dotąd przypomi-

stać w górę, chciał do tych „lepszych” ludzi należeć — a któż to naogół nie chce? — chciał samemu sobie zapewnić lepszy byt, chciał dzieci swoje widzieć w wyższych szkołach lub na urzędzie, na lepszej posadzie — ten musiał zostać Niemcem lub przynajmniej wdziewać niemiecką skórę. Innej drogi prawie nie było.

Powoli skóra ta tak przyrastala do ciała, że już stawały się nierozłączne. I z największym ubolewaniem czytamy dzisiaj setki nazwisk działaczy, pisarzy, artystów, poetów, wogóle ludzi, którzy występują jako bojownicy niemieckości — które to nazwiska swoim rdzennie polskiem brzmieniem przeważnie wykoślawionem lecz łatwem do odcyfrowania, zdradzają pochodzenie słowiańskie i polskie swych właścicieli.

Ale na to niema rady — a zwłaszcza nie było jej *wczoraj*. Wczoraj, to znaczy przed wojną, kiedy postęp niemieczyny był tak ciagły i skuteczny, że zdawało się, iż nic go zatrzymać nie może, że za trzy on z powierzchni ziemi śląskiej wszystko, co polskie jeszcze imię czy zawołanie nosi, że niemieckość jeżeli nie wchłonięła już, to wchłonie wszystko i ze Śląska zrobi, jak z tyłu już zgermanizowanych ziem słowiańskich, „Deutschtum”.



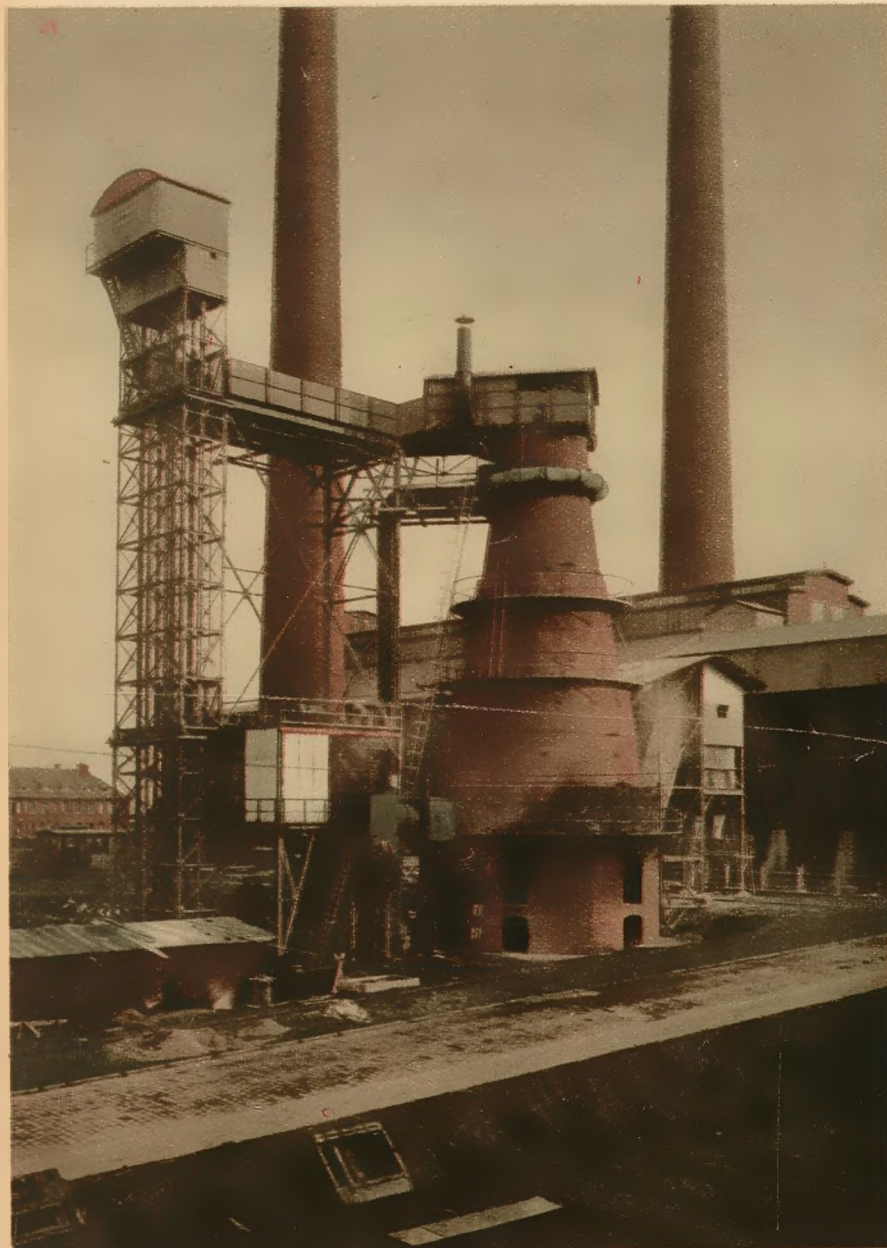
Z kościoła św. Jadwigi w Pszczynie — środkowa część dawnego ołtarza: rzeźby polichromowane z XVI wieku.

Lecz stał się dziw — cud dziejowy, jakie czasem wytwarza historia. Wywołali go sami Niemcy zaczynając wielką wojnę — tę wielką wojnę, która we wielu dziedzinach życia europejskiego stała się początkiem wielkich przewrotów. Wstrząsnęła ona Niemcami a ten wstrząs od zachodu przeszedł na wschód i obudził drzemiące w głębiach Śląska siły, co rozerwały niemiecką skorupę, ukazując, że *głębia ta polska* pozostała.

Gdy zachwiał się system rządów niemieckich na Śląsku — tak jak wogóle zachwiał się w całych Niemczech od powojennych wstrząsów rewolucyjnych — mógł przemówić lud śląski. A wtedy okazało się, że pozostał on polskim pomimo wszystkich naleciałości niemieckich, pomimo tak długiego niemieczenia: przez rząd i urzędy, przez baronów węglowych i fabrykantów oraz administrację przedsiębiorstw przemysłowych, przez magistraty, przez służbę w wojsku, przez szkołę. Gdy żołnierze cesarza Wilhelma mogli zrzucić *niemiecki mundur*, to ukazała się pod nim *polaska koszula*, „bliższa ciela, niż kaftan”. A pod tą koszulą biło polskie serce i język, wyzwolony z więzów ucisku i nacisku, zaczął mówić swobodnie *moją ojcowi i dziadów*...

15.000 „polskich insurgentów” — jak nazywali ich Niemcy — stanęło do pierwszego śląskiego powstania w r. 1919; w roku 1920 stało pod bronią 19.000 powstańców; w roku 1921, w trzecim powstaniu, które wybuchło 3-go maja, wzięło już udział 42.000 ludzi. Porwali się oni do walki z potęgą niemiecką, nadwyrężoną wprawdzie znacznie, lecz rozporzą-

Najbardziej malownicze miasto Górnego Śląska — Pszczyna: rynek, ratusz i kościół.



Chłuba polskiego przemysłu na Śląsku — Chorzów: piec wapienne w państwowej fabryce związków azotowych.

dzającą wciąż jeszcze olbrzymimi siłami, a walczącą z olbrzymią zaciętością na tym nowym „froncie”, którego utworzenia się nie przewidywali. Szły z głębi Niemiec ciągle posiłki, lecz nie zdziałać nie mogły. W tem trzecim powstaniu poległo 1.250 powstańców, ciężko rannych zostało 2.250.

Leczby te wydają się stosunkowo skromne. Ale ktokolwiek uprzytomni sobie — do jakiego stopnia krwawo przetrzebiły cztery lata wielkiej wojny właśnie Śląsk, z którego generalowie *kanjera* najbardziej bezwzględnie czerpali materiał ludzki, aby rzucić go na zer francuskim armatom pod Verdun, nad Marną i nad Sommą,

jak wykrywał się ten Śląsk *przymusowo* w walce za niemiecką sprawę — ten oceni wielkość tej pozornie skromnej ofiary.

Było coś dziwnego w tym porwie zimnego pozornie ludu, z twardej szkoły, przez czas tak długi wtłaczanego w formy nietylko życia, ale i myślenia i uczucia niemieckie. Coś dziwnego i szczególnie niespodziewanego dla samych Niemców. Zławsza dla tych, którzy, siedząc po miastach śląskich i tworząc tu wyspy niemieczyny, oddawali się złudzeniu, że tak samo niemieckie jest oblewające te wyspy śląskie ludowe morze. Lecz oto wzburzyły się fale tego morza i załwały miejscowo-niemieckie wy-

Przyszłość Śląsk: dzieci śląskie w strojach górników śląskich i góralskich.



spy swą polskością, pomimo, że do miast tych napływały ciągle nowe siły z głębi Niemiec. Nie załwały tych miast krwawo, bo dowództwo powstania celowo powstrzymywało się od atakowania miast dla uniknięcia zatargu z władzami koalicyjnymi, sprawującymi wówczas tymczasowe rządy na Górnym Śląsku...

Ale wszystko to należy już do przeszłości. Przeszłości wprawdzie niedawnej, lecz w perspektywie dziejowej wydającej się niezmierznie oddaloną. Któż teraz może sobie wyobrazić Górny Śląsk *nie* polskim? A gdy za dziesięć lat dzisiejsze dzieci, wtedy już dorośli ludzie, ludzie pokolenia, które idzie, którzy wyjdą ze szkół polskich — usłyszą czasem jakąś „gadkę” o „*niemieckich czasach*” Śląska, to zapewne wyda się im ona bajką. Jak-

stepliwi, jak zwykle kresowcy, twardzi, trochę szorstcy, trochę odrębni, lecz w głębi jednolici jak bryła kruszcu. Ciężka praca wzmocniła ich ramiona, praca niebezpieczna i opór, jaki musieli ciągle stawiać wewnętrznie ciemniejącym ich obcym rządcom, wzmocniły i zahartowały ich nerwy. Trzeba naprawdę przypuścić, że coś z ognia tych wielkich palenisk, przy których pracują w hutach, coś z siły tych wielkich młotów, którymi kierują w fabrykach, coś z twardości kilofów, którymi rozbijają bryły węgla w głębi ziemi — przeszło w ich dusze...

Gdy się jedzie na Śląsk z zachodu, mija się w pewnym miejscu tak zwany „kął trzech cesarzy” — „*Dreikaiserecke*”. Jest to już teraz tylko pusta nazwa — wspomnienie historyczne, przykrego rozdziału



Nie samym węglem żyje Górny Śląsk — rolnictwo górnośląskie także kwitnie i stoi na wysokim poziomie: na naszej fotografii para młodych żenców z Rudy Śląskiej, sfotografowana podczas jednej z pięknych tamtejszych uroczystości.

żeby to być mogło, ażeby ten *nasz* Śląsk był niemiecki!! Aby panować tu mogli Niemcy!! Żyć tu nikt im nie bion, ale *rzadzić*!!

Od lat piętnastu corocznie rozkwita Śląsk cały białoczerwonym polskim majem. Niewątpliwie jest to *święto powstanców*, którzy przy tej sposobności wspominają dawne swoje boje, a więc i czasy, kiedy trzeba było wydierać z rąk niemieckich władzę nad tym krajem.

Lecz równocześnie coraz bardziej staje się ta rocznica powstanców 3-go maja zwykłym, w całej Rzeczypospolitej obchodzone „polskim świętem”: wspomnienie walk odchodzą w przeszłość — w też różniejszości uwypukla się coraz bardziej *polska rzeczywistość* Śląska.

Te rzeczywistości tworzą przedewszystkiem sami Ślązacy — świadomi siebie, świadomi swej przynależności plemiennej i narodowej, w których głowach nie mieści się już możliwość panowania nad nimi obcej władzy.

Ślązacy ci tworzą swoją własną grupę w wielkim zespole, tworzącym jeden naród polski: ludzie zahartowani i nie-

historji, którego pamięć coraz bardziej się zaciera. Zatrze się niedługo zupełnie i tylko starzy ludzie czasem jeszcze wspomną, że to oto miejsce u zbiegu dwóch niewielkich rzeczek, był kiedyś Dreikaiserecke.

Musieli wszyscy ci trzej panowie z tego tu oto kąta się wyprowadzić, aby polski lud śląski został gospodarzem na własnej ziemi: najdosłowniej „dłużej klasztoru, niżli przeora”. Cóż pozostało po tych mocarzach? Jeden drwa rabie — dwaj gryza ziemię. Przeminęli jak przykry, dławiający sen, rzadko wspomniani nawet w swych krajach rodzinnych. Zrozumiałem staję się powiedzenie kanclerza Hitlera w tegorocznej mowie pierwszo-majowej, że „wolałby być robaczkiem we własnej ziemi, niż królem wśród jakiegos innego narodu”, miał rację w tym jednym sensie, że *niedobrze i niebezpiecznie jest władać nad obcym ludem*. Przyjdzie zawsze jakiś wicher dziejowy, który zmiecie władcę i mocarza z nieprawnie zajmowanego tronu — a lud na swej ziemi pozostanie. Po ruinie trzech cesarzy, na gruzach ich potęgi narodził się wolny Polski Śląsk — a każdy Ślązak jest panem u siebie. Nad Śląskiem kwitnie biało-czerwona wiosna...

5 CIĄG DALSZY

Na niebie zamglonem bladeścią konstelacji, odcinały się matowo czarne drzewa, całe w płaszczyznach, jak mozaika fresków; człowiek pod jesionami zdawał się być zrazu zupełnie nieruchomym. Dopiero zbliżywszy się, dostrzegł Ruben, że kołysze się w miejscu (cienkie lodygi traw nie uginały się pod nim) i w bardziej ostrym promieniu księżycowym, ujrzał nagle brat Arcykaplana, białe oczy i wywalony język *wisielca*. Cofnął się gwałtownie — przecież już zawołał był do nieboszczyka: Hej, człowieku! — I wisielec, jak gdyby odpowiadał, kołysząc się: oto tu jestem, słyszę cię... Twarz jego była przerażająca — cała w błocie, zadrapaniach i łzach, widocznie przed śmiercią objawiał rozpacz, jak to czynią żydzy w chwilach udreki. Z rąk spływała krew. Ale w jaki sposób doznał tu ten straszny trup?... Wiatr szarpał jego odzież i z niewypowiedzianą trwogą wyobraził sobie Ruben, że to on mógł, właśnie tak, kołysząc się, iść przez równinę, goziny całe... Zmrużył oczy, zimny pot wystąpił mu na skroniach, łomot krwi szarpał arterje. Nagle świadomość wróciła doń z niezwykłą wyrazistością. Czyż nie jest *nieboszczykiem* on sam?

ROZMOWA Z UMARŁYM

Zaśmiał się długo. Od strony Josaphata doleciało echo.

Ruben ruszył wprost na trupa, pechnął go: Czego chcesz? Ktoś ty? Jak poważyłeś się na zabicie siebie... w *taki* dzień? Przeklęty! — Było to zupełnie logiczne: martwy pytał martwego, czekał na odpowiedź. I otrzymał ją — rżenie agonii, czy śmiech?

— Jam Judasz, co zdradził Nazareńczyka!

Wobec tego szezeła możliwości przerażenia lub twogi — bezsila słów ludzkich. Ruben spytał:

— Po co?

Za każdym razem odpowiedź płynęła z nieprawdopodobnych głębin. Często nie od razu. Padła po milczeniu, jak uderzenie topora. Ruben skamieniały cofał się wtył: czuł jedynie — że umrze, jeśli dotknie tego trupa. Dialog między zmartwychwstałym nieboszczykiem a trupem Judasza toczył się mniej więcej w ten sposób:

— „Prawem względności — jest oddalać się od Absolutnego Boga po szczeblach ziemskiego twor. Kain, zabijając Abła, sądził, że zabił Człowieka-Boga, ja zabiłem Boskość. Ubodzy duchem pojrzą — nienawisć, zawiść... Nienawisć? Od zasady do zasady, tak! Słuchaj: *nienawidziłem Go przed urodzeniem*. Jego — kosmos. Jam — zarodkiem względności, tą istotą, co najgłębsza ze wszystkich po Aniołach, przeniknęła w otchłań zła. Losem naszym — kroczyć do swego celu. Dotarłem. Byłem na szczycie, pozostała mi do dokonania jedyna rzecz w zatraceniu — Bogobójstwo. Tego nikt nie osiągnął przedemną ani po mnie nie osiągnie, albowiem w najstarszych nawię kulta — Set, Bel, Bóg o blizach odwróconych od siebie, zabija Pra-kształt... Przeszedłem Lucyperra...“

Szalony! — krzyknął Ruben — i urwał.

Wisielec uśmiechnął się (dziwnie wykreśliło mu szczęki). Język mu drgał.

— Ty wiesz: po śmierci niema szaleństwa. To tylko inny sposób pojmowania świata zewnętrznego — myśmy tu poza wszelkim ograniczeniem.

— Ludzkość przekłeta jest oto — przez ciebie!

— Możliwe. — Nastąpiło milczenie, zdawało się, że myśli, potem dodał: — „Nie w tym sensie, w jakim sądzisz, albowiem Nazareńczyk — przebacza i wobec Jego przebaczenia — beznalnym jest. To pewno jest straszliwsze. — A jednak po mnie ludzkość dźwiga na sobie piętno przekleństwa, albowiem największej zbrodni, celu i marnienia wszystkich strażenców — Bogobójstwa, dokonałem ja — i powtórnie dokonać jej, nikt już nie ma mocy.“

(Ciągłe milczenie).

Rubenowi uroiło się jakoby jęczała ziemia.

— Wraz z Sodomą, z Gomorą, z Babilonem, zadręczało pokolenia pragnienie Bogobójstwa; próżno, oklamując żądze, stwarzali misterja i sny, i Egipt w świętej wsiekleści rozsarpał ciało Ozyrysa. Hellada wlokła po skalach trupa Orpheusza, umarł Tammuz, umarł Adon, umarł Marduk... Setki razy splamiła ludzkość ręce *rzekomu* krwią — i dzień upłynął, marzenie ciałem się stało — raz na wieki... Wieki, wieki całe będą pożądały swej części udziału w mej zbrodni. Wieki przegwożdżą Ciało Jego do niezliczonych krzyży, lecz — prawdziwe Ciało, jęk, przedśmiertny pot, i oddech — przypadły mnie jednemu w udziale...

WIDZENIE CZASÓW, KTÓRE IDA

Ruben przyknuł oczy. Jak gdyby przeniknąwszy w tajniki jego myśli, w pytanie, trawiające mózg, dalej ciągnął nieboszczyk:

— Tak... (lekko kołysząc się, wzruszył ramionami).

Wiele dokonywa się. Będą walczyli mrokiem mroków — jak Bel, jak Edom i Machian. Zniszcza miasta, wytną mieszkanców. Przez długie wieki trwać będzie *królestwo siły: rozgrabione ołtarze*, splamione ogniska domowe, zabójstwa — takie, że Kain przy nich czystym się wyda. I to nie wszystko: jadłem zatrują dusze, wydzwigną się na Olimpy, na niebiosy, i stamtąd cisną śmierć.

I kiedy z popiołu i z oddechu, ze światła i piorunu uczynią broń śmiercionośną, ubodzy duchem, ślepe dzieci, pycha się uniosą, zachwycone w swej wspaniałości...

N. NOWAKOWSKAJA

DZIEŃ PIERWSZY,
WTÓRY, TRZECIpowieść z czasów Poncjusza Piłata
autoryzowany przekład W. Michałew

Wspaniałość ich — prochem.

— Przyjdzie człowiek — (wisielec dziwnie drgnął — wiatr był nad równiną...) — Przyjdzie człowiek — nie jedynym będzie — i nie ostatnim i nauczy ich rozkładać żywy mózg. Wszelkie świętokradztwa dokonywane będą. Ja wiem — albo wiem droga ku względności jest wielka, i nie wszystkie szczeble jej są przekroczone. Czemże szpetność opustoszenia, przepowiedziana przez Daniela? Padną królestwa, a w miejsce ich zostanie *jeden człowiek*: będzie szalony z przerażenia i głodny i będzie usychał z pragnienia. Nieznane potwory stał i żelazo spłują ziemię, człowiek będzie zdala ciskał na człowieka, ognista i rozumna śmierć...

Jedna z ich zbrodni odpowiedzią na moją będzie i zadrzę w głębi piekieł: — *bluźnienie Wierczy...*

Albowiem tam także — *Ciało Chrystusa i Krew i Duch* nieśmiertelny — lecz i to wyprzedziłem w wigiliu Paschy... Ani lepiej, ani więcej zła nie wymyśli już ludzkość.

— Ty kłamiesz! — krzyknął Ruben. — Tyś *nie* wiedział...

Martwy zamilkł — może zamilkł wiatr nad stępem. Sina błyskawica przewinęła się, pełgając krancem nieba. Jakiem odpowiedziała ziemia.

— *Ja* nie wiedziałem — a ty wiesz? *Nie wie nikt*. Nawet książę, co kusił Go na pustyni... Albowiem Tajemnica Wcielenia niedocieczoną jest i teraz...

Ruben pomyślał z rozpaczą: pocóż jest tedy prawda, jeśli należy postępować za nią — jak za Cieniem?

— „Tak, poco? — *By oddać stokrotnie według prawa Nazareńczyka!*... — Martwy uśmiechnął się — bielą oczu bez żręnie. — Dla triumfu prawdziwej wiary, absolutnej jak Dobro samo, konieczne jest... Lecz czy zatrumfuje ona? Kto wie?... Albowiem On umarł, a poza Nim nie może nikt!...“

Wtedy zrozumiał Ruben, że ostatnią bronią Zła w walce z Dobrem — Zwiątpienie.

Przywiódł na pamięć słowa podróży, co szli do Emaus i Golgotę. Ze szczególną wyrazistością wyłonił się przed nim skostniały kształt, tam, w grobowcu. Przypomniał sobie, że Chrystus umarł w dzień, że teraz jest najwyżej północ — a już pękł oto łańcuch Jego nauki, starte są Jego cuda. *Czas nie tworzy, lecz niszczy*. Przyjdą dni, zetrą aż do podstaw skałę Golgoty, pokolenie kroczy po pokoleniu — a oto nauka stała się mitem w przeciagu kilku godzin konania Mistrza? Duch zmartwychwstałego długo snuł się w labiryncie abstrakcyjnych dylematów, sylogizmów, pozostających w tak małym związku z Chrystusem, z liljami Galilei, ze Zwiastowaniem, — jak same słowa Judasza... *Nagle wewnętrzny jego wzrok osłepiło nieprawdopodobne światło: promień z wyżyn, których nie sięgała jeszcze dusza — i z dokładnością prawie matematyczną zrozumiał, że szatan beznalnym jest i tutaj i że za- wczasu rozwiązane jest jego zadanie — SKORO CHRYSTUS ZMARTWYCHWSTANIE NA DZIEŃ TRZECI.*

Serce jego, jakby rozplynęło się w błogim blasku. Lęk przysł. Spojrzał na ciało z natężeniem. I wtedy przy jaśniejszym świetle księżyca ujrzał, że trup już dawno urwał się z jesionu, spadł na ziemię i twarzą zarył się w trawę. Do ust napębała mu się ziemia, grudki gliny... *Mówić — nie mógł.*

SALOME I TRYBUN RZYMSKI

Dwór Tetrarchy przebywał zwykle w Maskarus, lecz *Władczyni* (tak nazywano wśród ludu *Salomeę*, córkę Herodjady) spędzała święta w Jeruzolimie i tam też przeniesiono oddział żołnierzy scytyjskiej augusty pod komendą Klaudjusza, trybuna. Herod nie dowierzał swej idumejskiej straży. Od śmierci Jana, co chrzczył w Jordanie, nienawiść ludu do niego tylko wzrosła; ani król, ani rodzina jego nie ważyli się opuścić pałacu bez opieki straży przybocznej. W Cynnerecie kobiety lżyły Herodjadę wyzwiskami i przekleństwami, przezywały „rudowłosa“ (co, jak wiadomo, oznaczało kobietę złego trybu życia). Przed progiem Salomei znajdowano jadłowite trawy i żmije. Do ostatniej chwili, królowa, kierując się dumą, nie dopuszczała do siebie rzymskiej straży, później jednak jakoś osłabła: Pontius Pilat umyślnie przysłał do Maskarus znakomity *V-ty Legjon* „nieustraszony i chwalebny“ z jego niemiennie sławnym trybunem.

Legjony były żywą istotą: każdy miał własne imię, chwalebna przeszłość, epickie cienie. Był *15-ty Apollonjusz*, „*bogobojny i wierny*“ Legjon Alauda — skrowonek, Valeria Vietrix, później — straszliwy chrześcijański — Legjon Tebaidy. One przekraczały Rubikon, zdobywały Gallję, Iberję, pod wodzą Tuliusa konsula; poprzedzały je tybicyjskie flety: Hellenowie Kreteńskiego legjonu ruszali w bój przy dźwiękach liry. Nazywano ich augustami, jak żony cesarzy.

I dlatego, że — coraz częściej i częściej w wieczory zwycięstw, pijani krwią i dźwiękiem trąb, wznosili na tarczy swych wodzów, którzy z ich woli stawali się Imperatorami — przeto każdy żołnierz nosił w sercu cząstkę zwycięskiego Rzymu, dumę jego orłów.

Od pierwszych dni zjawienia się Rzymian w Maskarus, instynktownie skupiła Salomea na nich, następnie na ich dowódcy, całą prastarą nienawiść ujarzmionej Judei. Wątpliwem jest, czy sam Eneusz dostrzegł to, że wszędzie, gdziekolwiek ukazywała się jego dumna sylwetka, ziota gorgona hełmu, przynosił wraz z sobą zarozumiałe stwierdzenie wyższości rzymskiego pochodzenia, rzymskiego imienia... Ten patrycjusz w Maskarusie! Nie dający się zetrzeć ślad potęgi Rzymu wśród azjatyckiego przepychu...

Na jego widok mimowoli odczuwała Salome, że jedyną prawdziwą królową, beznprzeczną władczynią jest tu — *Rzymska Wilczyca*, której powolne są Legjony. Eneusz nie pogardzał zwycięzonymi, nie dostrzegał ich... Zaprawdę *nie było* dlań, ani Tetrarchy Heroda, ani królowy Salomei — były tylko rzymskie magistraty, uwięzione wspaniałościami Imperji; pewność tego wskrzeszała w każdym jego geście pamięć o zwycięstwie Rzymianina, Pompejusza.

Poraniona duma Władczyni zmagala się z niewidzialną przeszkodą, niszczącą światy: pragnęła *poniżyć* nieznosną dumę Kwirytów, co wazyła się zachwalec mniemać, że natchnieniem jest bogów: wszędzie, przy każdym spotkaniu w tych szczegółach, które składają się na *największe* egzystencje, usiłowała Salome dowieść trybunowi, że ona jest — królową prawie, a on — żołnierzem tylko. I zawsze wysiłki jej obracały się w niwecz wobec wspaniałej wyższości, spokoju — Pax Romana pięknej maski.

Co do Eneusza, to ten, pobłażliwy dla *tłumu* ujarzmionego narodu, *królów* jego traktował z lodowatą obojętnością. Ta, albo inna kwatera, te, lub inne bitwy: gdyby Rzym postawił go na warcie przy mauzoleach Świętej Drogi, wzięłby na się tę straż, jak tu w Maskarus, oslepiającej i barbarzyńskiej twierdzy, do której Herodjada przyniosła wszystkie skarby Assyrii i Judei, Salome — wszystkie sny Kleopatry i Semiramid. Fale narodowego gniewu konały u stóp Orłów rzymskich. I Tetrarcha — *cień* wspaniałości i okrucieństwa, Herodjada — *cień* zemsty, Salome — grzeszna i ponętna *zjawia*, zaledwie odbiciami były w świetlanem zwierciadle jego duszy.

Herod wraz pojął jakimś sposobem, że nie znajduje lepszego obrońcy, jak w tym żołnierzu, dla którego *nie był* królem. Spokojna pewność siebie dawała Eneuszowi niewytłumaczoną władzę nad duszami. Legjoniści wiedzieli, że oni są jedną rodziną: sława o czynach ich niewiadomo jak doleciała z Amoryku, Akwitanji, Iberji, towarzyszyła potomkowi boskiego Kajusa; mówiono, że był triumfator na kapitole, i że Tyberjusz lęka się go.

Zdarzyło się wszakże, że pewnego razu Salome spojrzała na trybuna innemi oczyma.

Zaszło to przed Paschą, zupełnie pod koniec już, suchej i chłodnej palestyńskiej zimy: płomienny wieczór przyodził horyzont szkarłatem Cezarów. Przerazliwa nuta wieczornej djany przebrzmiała ponad równiną. Salome z okna swej wieży patrzyła na wracające do Cynnerat kohorty. Wiatr mial chorągwiemi. Pierwsi kroczyli *vekyllarjusze*, sędziwi weterani, mający prawo iść zawsze na przdzie — na triumf i śmierć: u wielu z nich twarze były tak pokiereszowane, że nie poznają ich matki w Elysium... Wojownicy ci walczyli w bitwach z Partami i w piaszczach Ofiru, oni — ostoja Rzymu; w gozynie, kiedy bitwa rozstrzyga o losach Imperji, kiedy pijana jest od krwi Bellona i wszystko idzie ku zatraceniu — wolno, żelaznym szykiem, zmatając wszystko na swej drodze, ruszają na wroga — oni, weterani, trjarjusze...

(ciąg dalszy nastąpi)

MARJA
REUTT

PANNA LEŚNICZANKA

WSPÓŁCZESNA
POWIEŚĆ
OBYCZAJOWA

...tego chłopca, to mo-
...wpaść w te strony,
...miłą, prześliczną pa-

...zadowolona: rozmowa
— Kiedy pan wraca?
...powiedział z udanym

...wody może upłynąć
...szych poleskich rze-
...sentencjonalnie.

...nią, pytając z bly-
...oczach:
...nieć nadzieję?

...obaczmy...
...pani — szepnął, ho-
...a głosy pani Muszki

...wartej — odszepnęła,
...podoba Polesie?
...powiedział z entuzja-

...śliwego istny raj.
...się państwo, wszak
...ała pani Muszka, u-

...myślnie.
...ie, ale nie ręczę, czy-
...gdyby panie zabawiły

...rniku — mówiła pani
...idąc im naprzeciw.
...an obrazi — żartowała

...anie i na królowe obra-
...ao — recytował, gdzieś
...oryzm".

...EC" i OJCIEC
...Natalka w towarzystwie
...j szła do pałacu. Ujrza-

...hrabina i wysłała im na
...upła i zrećzna, jak mło-
...rzy nietylko ładnej, ile mi-

...że panią widzę, panno
...zemówiła na powitanie,
...wyciągając do niej życzliwie rękę.

...Pani Szóstakowa dygnęła dosyć nie-
...zrećnie, ale za to bardzo uniżenie i za-
...wróciła do siebie. Nie była już potrze-
...bna, spełniła swoją misję.

...Natalka i hrabina spacerowały jakiś
...czas po parku i ogrodzie. Wszystko to
...niosło Natalce wspomnienie szczęśliwe-
...go dzieciństwa. Przeszły na północną we-
...randę. Panował tu miły chłód i cień.

...— Pani gra? — spytała hrabina.
...— Gram, pani hrabino — odpowie-
...działa Natalka.

...— Ach, jak to dobrze! — ucieszyła się
...hrabina — wobec tego chodźmy do salo-
...nu. — Z wrodzonym wdziękiem wielkiej
...damy, poruszała się Natalka wśród pię-
...knych staroświeckich mebli, nie okazu-
...jąc najmniejszego onieśmienia. Wszyst-
...kie stoliki, szafeczki, serwantki, rzeźby,
...obrazy, figury były jej dobrymi znajome-
...mi, przyjaciółkami. Spędzała wśród nich
...w towarzystwie łagodnej, dobrej sta-
...ruszki całe godziny, nie nudząc się we-
...le, a do fortepianu w rogu pokoju
...uśmiechnęła się, jak do kogoś bliskiego.

...— Gdzie się pani uczy? — pytała hra-
...bina, nalewając herbatę ze srebrnego
...imbryczka.

...— Na pensji hrabianki Plater.
...— Dobrze się pani tam czuje? — do-
...pytywała się dalej.

...— Bardzo dobrze. Mam dużo miłych
...koleżanek, nauczycielek, jest gabinet do-
...świadczalno-przyrodniczy, laboratorium.

...— Jak widzę, lubi pani naukę — zau-
...ważyła przyjaźnie hrabina.

...— Nie wiem, chcę dużo umieć, ale że-
...bym specjalnie oddawała się nauce, to

nie. Wolę muzykę i chętniej się ucze-
gam i etiud, niż lekcji.

— Bardzo się ucieszyłam, że pani gra,
wobec tego będziemy grywać na cztery
ręce. Otworzyła fortepian i wyciągnęła
nuty. — Może spróbujemy od razu?

Natalka nie certywała się. Wiedziała,
że gra nieźle, uważana była za jedną
z pilniejszych uczennic, przyzwyczajona
była grać na popisach.

Nie obejrzały się, gdy minęła godzina.
Wniesiono podwieczorek. Wszedł hrabia.

— Jestem uszczęśliwiona z poznania
panny Natalki. Gra lepiej odemnie —
mówiła hrabina do męża.

Hrabia podał dziewczynie rękę z życz-
liwym uśmiechem. Był to wysoki, ele-
gantcki, przystojny starszy pan, z siwie-
jącymi na skroniach włosami.

Przy podwieczorku przyglądał się Na-
talce, jej harmonijnym ruchom, jej na-
turalnej swobodzie z domieszką dzie-
cięcego zażenowania.

— Moja krew — myślał z przyjemno-
ścią. Nie miał żadnych wyrzutów sumie-
nia, że nie uznał jej za córkę — uczu-
wał jednak coś naksztalt dumy, że tak

mu się „udała“. Ale mieć nawet taką có-
rkę za cenę małżeństwa z panią Romą!
Nie, za nic, zbyt wielka i wygórowana
byłaby to cena! Dziewczynka wyglądała

zdrowo, była ładna, dobrze ułożona, sta-
rannie ubrana, widać, że krzywda jej się
nie dzieje i to dzięki jego opiece. Cze-
góż więcej trzeba? Ładna, inteligentna,
mająca posag, może wyjść dobrze zamaż.

Hrabina nieznacznie obserwowała mę-
ża. *Że Natalka jest jego córką, wiedziała
o tem od początku.* Takie rzeczy nie da-
dzą się ukryć przed sąsiadami, a ona

przecież była jedną z bliższych sąsiadek.
Kochała się w nim prawie od dzieciń-
stwa. Gdy podrosła, wyznali sobie mi-
łość, ale rodzice nie chcieli słyszeć o

wczesnem małżeństwie córki. Dla dokoń-
czenia edukacji wysłali ją do Włoch.
Szwajcarii, na południe Francji. Pół ro-
ku nawet bawiła na modnej pensji nie-
daleko Brighton w Anglii.

Podczas jej pobytu z matką w Saint
Luc, tutaj na Polesiu stało się to. Zresz-
tą sam się przyznał i prosił o przeba-
czenie. Zbyt go kochała, by nie przeba-
czyć. Nie czuła do tego dziecka niechęci

i naprawdę szczerze ucieszyła się z po-
znania jej i z tego, że dziewczynka była
taka ładna. Gdy żyła stara hrabina, by-
wała rzadko w Leśnym Dworze, gdyż

mały Fred był taki chorowity, od uro-
dzenia, że musiała bawić z nim stale w
górach. Dopiero w tym roku z powodu
remontu pałacu w Worominie przenieśli
się na lato do Leśnego Dworu.

Po podwieczorku hrabina zabrała Na-
talkę do parku, oprowadziła ją po cie-
plarni, pokazała kucyki Jerzyka:

— Biedactwo taki chorowity, ale dok-
tór mówi, że to przejdzie i że za rok,
dwa będzie zdrow zupełnie. Tęsknij za
nami, my za nim, ale cóż robić...

— Już po zachodzie słońca hrabina ode-
stała Natalkę powozikiem do leśniczówki.

— — — — —
Natalka jechała do domu z drżeniem
serca na myśl o spotkaniu się z matką.

Odetchnęła z ulgą, gdy się dowiedzia-
ła od służącej, że matki niema w domu.
Nie wróciła jeszcze z Krzywicz. Za to

dziewczynki, które nudziły się pod nie-
obecność ojca i matki, powitały ją rado-
snym piskiem. Musiała im opowiedzieć
o wizycie ze wszystkimi szczegółami.

Nadszedł leśniczy z kancelarii. Wszyscy
czworo usiedli na stopniach ganku.
Leśniczy opowiadał im o wojnie, o bol-
szewikach, o radości, gdy ujrzał pierw-
szych polskich żołnierzy, o swoim pra-
szczurze Samuelu Szołomickim herbu
Hippocentaurus, towarzyszu pancernym z
1717 r., o dziadku Antonim Szołomickim,
powstańcu z 1863 roku, który pod wsią
Kołodno w czasie walki naczelnika Ro-
mualda Traugutta z Moskalami dostał
się do niewoli i zesłany został na Sybir
i dopiero po latach 15 męki i tęsknoty,
ułaskawiony wrócił poło tylko, by w ro-
dzinnej wsi swe stare, sterane ciężką pra-
cą i poniewierką ciało złożyć na wieczny
odpoczynek w ukochanej przez siebie
ziemi na wieczny odpoczynek i wieczną
ludziom pamiątkę i przykład.

— Z zagonowej szlachty jesteśmy, za-
den z nas uczonym nie był, ale klejnot
szlachecki szanowaliśmy zawsze. Zwrócił
się do bliźniaczek i położył im ręce na
główkach:

— Pamiętajcie sobie dzieci, że choć
prosty człowiek jestem, ale uczciwe mam
imię zostawiam, nie splamione żadną
podłością, czyste, uczciwe nazwisko, prze-
kazane mi przez moich rodziców i dzia-
dów. Pamiętajcie dzieci, żeby żadna pla-
ma na nie nie padła...

W odpowiedzi przytuliły się do niego
wszystkie trzy, jakby mu to ślubowały.

Z lasu szedł chłód wieczoru, z bagien
dochodziło rechotanie żab i buczenie bą-
ka, szeleściły tajemniczo liście, gdzieś
w trawie odzywał się świerszcz. Było im
tak dobrze i przyjemnie, że dziewczyn-
ki głośno zaprotestowały i z niechęcią
i szczerym żalem podniosły się z ganku,
gdy kazał im iść spać.

Jedna tylko Natalka skwapliwie sko-
rzystała z rozkazu. Bez słowa protestu
pocałowała ojca i wzięwszy dziewczyn-
ki za rączki, poprowadziła je do poko-
ju, pomogła im się rozebrać, zgasiła lam-
pę i sama czempredzej zrzuciła z siebie
ubranie, by jak najszybciej znaleźć się
w łóżku, bo unikała tym sposobem spo-
tkania się z matką.

(ciąg dalszy nastąpi)



Żaden mężczyzna nie spojrzał na
mnie więcej niż raz jeden. Byłam
zazdrosna o inne dziewczęta, ich
zaproszenia do tańca, flirty i prope-
zycje małżeństwa. Bo mnie nie zda-
rzało się to nigdy. Dobrze znałam
przyczynę. Miałam okropną cerę.
Skóra moja była pokryta wargami i
miała rozszerzone pory. Wszystko,
czego próbowałam, zawodziło. Wre-
szcie, idąc za radą, pewnego chemika,
spróbowałam Kremu Tokalon, kolo-
bialnego (nie tłustego) spreparowanego
według oryginalnego francuskiego
przepisu znakomitego paryskiego Kre-
mu Tokalon. Już po kilku dniach
cera moja była świeższa i bielsza.
Po tygodniu zaś — wszystkie rozsze-
rzone pory i wargy znikły — skóra stała
się jasną, gładką i delikatną. Już nie
mam powodu do zazdrości. Teraz i mnie
każdy mężczyzna prawi komplementy.
Krem Tokalon, koloru białego, za-
wiera czysty krem i oliwę. Wnikają
one do porów i wydobywają z nich gło-
boko osadzony brud, którego woda i
mydło nie są w stanie dosięgnąć. Inne
zaś cenne składniki odżywiają i odmła-
dzają skórę, oraz ściągają pory. Każda
kobieta, nawet w średnim wieku, może
szybko osiągnąć świeżą, jasną, śliczną
skórę, jaką mogłaby się poszczycić
każda młoda dziewczyna.



LUDZIE FILMU—i CZARNI DESPOCI

TRZECI LIST Z OBSZARU CZAD

Napisał i zilustrował specjalnie
dla „NA SZEROKIM ŚWIECIE”

KAZIMIERZ NOWAK

Obóz nr. 100 w A. E. F.

Duża rybacka wieś murzynów SARA dawno już usnęła. Pogasły ogniska — psy tylko przeraźliwie ujadają, a czasem zarzy koń.

Gwiazdy przeglądają się w świętej rzece LOGOME, która prawie zamarlała w bezruchu, uśpiona suchą porą. Strome brzegi porośla anemiczna trawa, wśród której w dzień dojrzeć można plantacje ryżu — forsowane przez administrację, bo ziemia tak pustylna, że bawelna nie dała tu żadnych rezultatów.

Święta rzeka LOGOME! Tak! — święta — jak wogóle wszystkie rzeki pod tą szerokością geograficzną.

Na lewo i prawo od koryta rzeki rozciąga się prawie szczerza pustynia, przedpokój Sahary — i anemiczną roślinność spotyka się dopiero nad brzegiem wody. Woda ta daje życie ludziom i zwierzętom.

Zaraz od osady LAŹ zmienił się nie tylko krajobraz, ale także murzyni, ich wioski i sposób ich życia.

Wioski skupiły się tuż nad brzegiem i tworzą istny labirynt uliczek wąskich, obramowanych kolistymi lepiankami, przykrytymi stożkowatą, plecioną strzechą.

Okolica zupełnie bezdrzewna — to też ściany domków ulepiono z gliny. Domki te nie stanowią jednostek mieszkalnych, bo każda rodzina ma tych domków kilka, czy nawet kilkanaście — a całe to zbiorowisko lepierek otoczone jest wysokim płotem z gliny, z jednym wejściem od uliczki.

Zę względu na częste pożary tutejszych wiosek i brak czasu na wyniesienie zapasów żywności z pałacy z części wioski, każda rodzina zbudowała sobie ciekawe stodoły w postaci olbrzymich garnków czy flaszek — z wentylacją u dołu, którą w razie pożaru zatyka się szczelną przygotowanymi zatyczkami z gliny.

Ziarno wysypuje się z góry — a otwór szczelnie się zamyka — choćby przed milionową rzeszą skrzydlatych złodziei, w rodzaju naszych wróbl. Francuzi nazywają je: „stoning” — ptaszki te są bardzo tłuste i ślad nazwa.

Zagrody — każda z osobna — tworzą pewnego rodzaju zamkniętą całość. Poza płotem zagrody żyje tylko harek, dzieciarnia i służba oraz niewolnicy — a nikt obcy nie może przekroczyć otworu w postaci elipsy, dośz zresztą koślawej.

Kobiety murzyńskie przez dzień cały żyją zdala od płci brzydkiej — a gromadki dzieci, uganiające nad rzeką — tworzą dwa oddzielne obozy: chłopców i dziewcząt.

Wszystkie czynności mieszkańców wioski odbywają się wyłącznie zbiorowo, słowem są to — kołchozy komuny murzyńskiej*), trwającej od wieków.

Ta część ziem szczepu SARA (to jest etap LAI-BON-GOR) zachowała po dziś dzień prawie zupełną niezamieszalność — a jak kiedyś płaciła haracz sułtanom, dziś płaci białym ludziom, lecz nie ulega wcale wonom cywilizacji.

*) Odkrycie tego rodzaju „komun” ludów pierwotnych, połączonych z władzą zarazem ojcowską i despoticzną protoplasty rodu, lub bezpośredniego jego potomka nad całem plemieniem, zamieszkałym w jednej osadzie, uczyniono już dla nauki i określono jego charakter; antropologia zna ten ustrój oparty na hierarchii pokoleniowej, wskutek tego wyrazy „ojciec” i „brat” mają znaczenie niezwykle szerokie, rozciągające się na wszystkich członków tego samego pokolenia — bratem jest każdy współpokoleniowiec. Tak samo znane są olbrzymie wspólne domy mieszkalne, o których wspomina tu p. Nowak — nie tylko u murzynów centralnej Afryki, ale także u ludów na Nowej Gwinei, gdzie mieszkania takie, zawierające mnóstwo izdebek z osobnymi wejściami, choć niekiedy ze wspólnym ogniskiem, mają do 200 mieszkańców; Malajczycy budują takie domy wspólne długości do 30 metrów a 6—7,5 metrów szerokie. Batakowie na Sumatrze mają domy wspólne, dochodzące 180 metrów długości; przez całą długość mieści się sypialnia mężczyzn, z której 40—50 drzwi prowadzi do drugiej połowy, podzielonej na tyleż izdebek z ogniskami dla kobiet i dzieci dla każdego stadła osobna. Podobnie plemiona Bororo w puszczech największego obszaru stanu brazylijskiego Matto-Grosso; mężczyźni mają dom wspólny na dzień, z którego wychodzą na noc do chat swych żon, które każdy ma dla swej żony stawia oddzielnie. Niemniej p. K. Nowak jest prawdopodobnie pierwszym polskim podróżnikiem, który ma tutaj sposobność osobistego zaobserwowania tego rodzaju ustroju społeczno-rodowo-gospodarczego, opartego na swoistej, bardzo dawnej, choć prymitywnej cywilizacji własnej. (przypisek redakcji).

leżność — a jak kiedyś płaciła haracz sułtanom, dziś płaci białym ludziom, lecz nie ulega wcale wonom cywilizacji.

Są to 100-procentowi murzyni — prawdziwi nadzy prawie zupełnie, silnie tatuowani — a ko mają zniekształcone wargi, w które wetknięto drewniane krążki o średnicy 4 do 5 cm.

Rząd kolonialny postawił na czele każdej wioski go szefa — który jednak jest raczej sługą i strażnikiem, tylko i baczny, by dom etapowy był w porządku. Po ten szef („sułtani”) ulega przemożnej władzy dziwego „starszego” — ojca rodziny, potomka głowy wspólnego przodka.

Jest to władza tak despoticzna, że podobnej ci nie znajdzie się w całym świecie. Połączona jest z i ną prawie miłością ojca, który bez wyjątku dla wszystkich dzieci, baczny, by każdy był syty i każdy żyć spokojnie.

Ludzie, którzy twierdzą, że murzyni nie mają su cywilizacji — nie znają Afryki. Przybysze biali zd tu i tam rozluźnić tę wiekową organizację — wszecz w mózgi młodych chęć buntu i anarchii: jednak wy jest niewielki i dotknął tylko większe skupienia.

Zresztą i ci zdrajcy szczepu, z chwilą gdy chcą na kobietę na żonę — wracają pokornie do swojej wi korzą się u stóp „starszego” i proszą o przebacze Inaczej bowiem nie znajdą żony — a bez tej mur żyć nie umie!

Jedna z największych wiosek na tej trasie zatrzyma mnie przez 24 godzin. Przybyłem tam tak zmęczony w czeniem roweru przez piaski, że ledwo dyszałem.

Była to wioska KIM, jedna z najbardziej malowniczych wiosek, widzianej przeze mnie Afryki. Wioska drzem ła — zda się, wymarła zupełnie.

Nagle rozległ się dźwięk bębna — bam, bam, bam — bam, bam, bam... sygnał polowu ryb. Nisko ponad rzeką leciało stado ptaków, rodzaj rybołów, które zwia stają tutejszym rybakom obfity połów.

Święta rzeka LOGOME ożyła. Odbiły od brzegu liczne szpile czółna — inni konno przekraczali rzekę, a inni jeszcze szli pieszo, a wszystko, osiągnąwszy przeciwny brzeg — biegiem zdążyło szlakiem owych ptaków — zwiastunów.

We wiosce została starszyzna tylko i kobiety, które jak by na rozkaz wszystkie naraz zaczęły tłuc ziarno. Ozwa ło się głuche stukanie i metaliczny dźwięk misternie kutych branzolek i naramienników. Bezczyenne zostały tyl ko dzieci — kąpiące się w rzece lub przewracające ko ziołki na piasku.

Słońce zaczęło już pochylać się ku zachodowi, gdy ukazali się wracający rybacy. Połów był rzeczywiście ob fity — zwłaszcza dużo złowiono ryb zwanych „kapita nem”, które zresztą są rybami morskimi i wyemigro wały z jakichś nieznanym powodów z dalekiego oceanu Atlantyckiego. Być to musiało w czasie wysokich wód, kiedy jezioro Czad miało połączenie z Atlantykiem.

Gdy rzeka uciła od rozhoworu rybaków, powoli ławice ożywać zaczęły gromadą ptactwa wodnego. Ze wszystkich stron pustynnego stepu ciągnęły długie sznury dzikich gęsi, bekasów, irysów, a zwłaszcza bardzo lic znych w tych stronach pięknych ptaków, zwanych po francusku — w tłumaczeniu — „szare korony”.

Po chwili zjawił się „starszy” wioski i podawszy mi władczo rękę, usiadł przy moim ognisku. Potem zjawił się i urzędowy „szef wioski” — przyszedł boso, ale sługa przyniósł japońskie meszty i skarpetki, nie wyrzuc one przez administratora. „Szef” zaczął się ubierać, aby pokazać, że nie tylko jest szefem, ale że nawet ma takie samo obuwie jak ja.

Ławice piasku na Logome obsiadło ptactwo. Zażąda łem czółna i wprawnych wiosłarzy, a po chwili prulem prawie lustrzane wody świętej rzeki. Rozległo się gęga nie, potem masowe wzloty; trudno jednak było podejść na odległość strzału. Płynąłem w górę aż do zachodu.

W powrotnej dopiero drodze udało mi się polowanie, bo dwa strzały dały 7 dzikich gęsi, każda po 10 do 15 kg wagi — kupa mięsa!

Powróciłem już dość późno — i tu obok mego niwaku zastałem 3 duże auta ekspedycji amerykańsko-belgijskiej, która przebyła część zaledwie mej afrykańskiej trasy i wraca zmęczona do Ameryki, obierając najkrótszą drogę. Załoga ekspedycji LEILA - ROOSEVELT i ARMAND-DENIS składała się z pięciu osób — oprócz wymienionych powyżej kierowników wyprawy. Był jeszcze operator filmowy i fotograf oraz szofer-mechanik i jeden amerykański dziennikarz.

Po chwili stworzyliśmy obóz cyganów, co się zowie. Brak było tylko proporcji pomiędzy wyprawą amerykańsko-belgijską z jednej — a moją polską z drugiej strony. Naprzeciw 3 aut — prawdziwych hoteli na kołach, wyekwipowanych we wszystkie najbardziej pomyślowe sprzęty podróżnicze, stał jeden rower, obładowany niemożliwie wprowadzić, ale nie dający żadnych wygód.

Kuchnia wyprawy syczała — gotowaną wytworną strawę, lecz swąd spalanej benzyny zatruwał powietrze. Oślepiające światła licznych lamp — i ten komfort naczyń i urządzeń rozbudził we mnie tęsknotę za „brusą”, za ciszą nocy na tle dzikiej przyrody. Czułem się obco w tym obozie wielkich podróżników — grzeczność jednak wymagała dotrzymać towarzystwa.

Nazajutrz rano zaczął operator nakręcać film: odtworzono scenę przyjazdu do wioski. A po chwili kilkanaście ton cywilizacji potoczyło się w stronę Sahary, która na tym szlaku jest dostępną nawet dla dzieci. Trasa

nawet szampan mrożony, jeżeli ma za co...

Potoczyłem się rowerem śladem ekspedycji, która tak poryła piasek, zalegający drogę, że trudno było jechać.

Spotykam grupy murzynów SABA — na koniach, z oszczepami i innym morderczym sprzętem. Jadą stepem w szuku rozwiniętym, zda się jakiś groźny wicher idzie przez pustynny step.

Tu i tam w wysokich trawach i pod drzewami rozłożono placówki wpatrzone i w słuchane w step. Każdej chwili bowiem zjawić się może zbudzony z drzemki lew czy pantera, a zresztą i nie wszystkie antylopy idą na śmierć bez oporu. Murzyni SARA posługują się na polowaniu ciekawym nożem w kształcie fantastycznie pogiętej litery „F”, dół której stanowi rękojęść. Nóż taki poza rękojęścią jest ze wszystkich stron wyostrzony, jak brzytwa i obojętne jak upadnie na zwierzyne; zawsze ją rani poważnie, a nawet zdarza się, że odcina zupełnie głowę, gdy został rzucony wprawną ręką łowcy.

Pod wieczór osiągam ostatnią wioskę murzynów SARA. Dom etapowy, zbudowany wyłącznie dla białych, zajął czarny ex-żołnierz, który po piętnastu latach służby wraca w swe rodzinne strony.

Obszerny dziedziniec zaległy pomęczzone woły i konie, które dzień cały dźwigały nieprzeliczone toboły, cały dobytek żołnierski 15 lat.

Oprócz koców, skór, dywanów tubylczych i całego mnóstwa naczyń emaljowanych, widać kilka żon pana wojaka, które takim piskliwym gwarem napęniają ciszę nocy, że ogarnia mnie złość.

Ex-żołnierz nie okazuje chęci wycofania się, jest butny: toć przecież kwiat czarnych Francuzów — sierżant do tego. Może przyszedł dowódca plutonu, który w krwi ludzi białych płać się będzie na europejskich pobojuiskach, gdy tego zażąda Francja. Godzina zbiegła, zanim udało mi się oczyścić plac, a teraz w noc piszę, aby ukoić poszarpane nerwy.

Nie podróż mężczy — ale ta walka z otoczeniem. Z jednej strony niechęć panów tej ziemi, z drugiej buta „czarnych obywateli”, a poza tem drożyzna życia i walka o byt. Walka o byt, o wizy — a tyle cierni i przeszkód leży jeszcze na mej drodze, że chwilami tracę ostatnią isierkę nadziei...

S. FOWLER WRIGHT

PRZEŁOŻYŁ ST. M.

WOJNA W R. 1938

„PRELUDJUM W PRADZE“

10 CIĄG DALSZY

A więc jednak to samoloty typu „Zeus” — i to „naturalnie!” — które tam zniżają się do drzwi podziemnego lotniska... A cały świat był przekonany, że Niemcy zaniechali budowy samolotów tego typu dwa lata temu. Nr. 973 przypomniał sobie, że rząd niemiecki puścił w świat twierdzenie, którym zaprzeczył pogłosce mówiącej o rozpoczęciu przez Niemcy w tajemnicy budowy potężnych samolotów bombowych, zupełnie nieznanego typu, na wiosnę roku 1935, kiedy Niemcy urzędowo oświadczyli, iż nie uznają żadnych klauzul rozbrojeniowych traktatu wersalskiego. Natomiast zrzeczenie puszczone w świat pogłosce, niby to zdradzająca tajemnicę, że Niemcy budują samoloty bombowe typu „Vogel” Sześćset takich samolotów brało udział w wielkich niemieckich manewrach lotniczych w roku 1937, na których byli obecni przedstawiciele wojskowości różnych państw. Mogli tam stwierdzić, że samoloty „Vogel” były wprawdzie potężne, ale o powolnym tempie locie, tak że ustępowały bodaj nowym samolotom angielskim oraz nowym wzorom samolotów bojowych francuskich. Niemiecka prasa twierdziła, że samoloty „Vogel” są najlepsze — a zagranicą śmiano się z tego „zarozumiałstwa”...

Teraz nr. 973 widział, że cała ta potężna flota lotnicza samolotów typu „Vogel” była równie potężnym bluffem — prosto tylko rezerwą prawdziwej niemieckiej lotniczej floty bojowej pierwszej linii. Zaprzeczenie urzędowe i cała kampania prasowa niemiecka służyły tylko temu, żeby ukryć manewr. — A sam on zawsze odnosił się sceptycznie do pogłosek, które pojawiły się w ciągu ostatniego roku, dotyczących niemieckich lotnisk podziemnych! Nie żeby wątpił o samej możliwości istnienia podobnych schronisk — była to jednak rzecz zbyt trudna, aby ją można było zrealizować niepostrzeżenie na większą skalę, taką, którą miała wojskowe znaczenie. Rozmiary tych podziemnych schronisk, zarówno pomieszczeń na samoloty jak rezerwuarów benzyny, sposób ich technicznego urządzania — oto co było rzeczą istotną. Teraz dopiero Steele widział, że może tutaj odkryć o wiele więcej, niż oczekiwał.

Tak, to były informacje pierwszorzędnej wagi. Wejść już raz w te otwarte drzwi — a przytem nie być samemu wykrytym! Na tym jednak punkcie opadały go wątpliwości; w każdym razie nie będzie uciekał przed niebezpieczeństwem. Miał zaś w zapasie pewien atut pozwalający mu żyć nadzieję, że „w razie czego” ocali go on od natychmiastowego skazania na śmierć...

ŚMIAŁYM LOS SPRZYJA

Te myśli przelatywały przez głowę rzekomego Gumperta, gdy biegł za lotnikiem, nie protestując już przeciwko coraz szybszemu biegowi. I w końcu obaj już biegli obok siebie, bok o bok, gdy znaleźli się w zmieszanej grupie żołnierzy, lotników i robotników, którzy spieszyli ze wszystkich stron do mającego

się zamknąć wejścia na lotnisko. Gdy tylko przeszli wrota, dwie wielkie połowy drzwi, jakby olbrzymie zasuwę zaczęły się zsuwać powoli i bez hałasu na dobrze widocznie naoliwionych „zawiasach”.

Rzekomy, szeregowiec Gumpert, wciąż nie spuszczał oczu, z człowieka, który miał być wyjaśnieniem jego tutaj obecności, spostrzegł, że znajduje się w podziemnym schronie, ogromnie rozciąglonym w głąb, jak mógł to osądzić na rzut oka, ale niezbyt wysokim, dostatecznie oświetlonym lampami łukowymi, zwieszającymi się ze stropu, które go cała posadzka była zasiana samolotami bombowymi — jakby stado olbrzymich chrapaszczy siadło tu, nie zwijając skrzydeł.

Rozglądając się dalej wkoło, nr. 973 zauważył ze zrozumiałą satysfakcją, że nie było widać tu nikogo, ktoby miał na sobie uniform tego pułku, do którego on tak niedawno „wstąpił”. To go w każdym razie zabezpieczało od zdemaskowania w ciągu najbliższych kilku godzin. Gdy zaś nie było nikogo, kto mógłby znać Gumperta, nr. 973 mógł dać dostateczne wyjaśnienie — dlaczego się właśnie znajduje w miejscu, gdzie niewątpliwie być nie powinien. Mimo to wszakże jego uniform jako różny od wszystkich innych był o tyle niewygodny, że zwracał uwagę — trudno więc było liczyć na ukrycie swej obecności. Nr. 973 zdecydował, że najśmielsze postępowanie, będzie jednocześnie najbardziej bezpiecznym — wobec czego skierował się wprost do oficera, którego oczy, jak to zauważył, już dłuższy czas go obserwowały. Oczywiście rzekomy szeregowiec Gumpert nadal pro wadził przed sobą lotnika Witzę.

Zbliżywszy się do oficera, zaskłutował i w krótkich słowach, jak tego wymagały okoliczności oraz z akcentem dostosowanym do nowoprzybranej przez siebie narodości (mówił świetnie po niemiecku kilkoma dialektami) wyłożył przyczynę swego postępu.

— Oczywiście przypuszczam, że lotnik jest tym, za kogo się podaje — zakończył. — Jest to jednak człowiek, którego do tej pory nie widziałem. Ponieważ zaś mieliśmy rozkaz ścigania szpiegów...

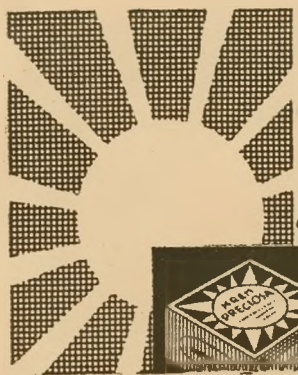
— Czy widzieliście któregoś z tych szpiegów? — przerwał oficer.

— Widziałem dwóch ludzi, którzy uciekali i z którymi wymieniliśmy strzały. Dwaj moi towarzysze padli. Ścigałem dalej uciekających szpiegów, ale światło reflektorów odwróciło się i ci zniknęli mi z oczu w ciemności. Gdy więc spotkałem tego, mogłem przypuszczać, że natrafiłem właśnie na jednego z nich.

— Zrobiliście dobrze! — przerwał oficer. Następnie dał rozkaz jednemu ze swych ludzi, aby odprowadził lotnika Witzę i sprawdził kto to jest. Uważał, że sprawa została na tem wyczerpana, ale rzekomy szeregowiec Gumpert znowu zaskłutował i zadał pytanie:

— Panie kapitanie, czy pan pozwala mi powrócić?

To było z jego strony zuchwałość — ale nr. 973 widział dobrze, że wielkie wrota zamknęły się i było prawie niemożliwym, aby je otwarto dla niego. Ponieważ zaś miał na sobie uniform szeregowca



SŁONCE nie szkodzi CERZE

o ile Pani będzie zabezpieczała ją przed nadmierną opalenizną i piegami, stosując przy pierwszych blaskach wiosennego słońca usuwający piegi

KREM PRECIOSA
PERFECTION

Gumperta, musiał tak postępować, jakby tamten zachował się w tym wypadku. I jego pozycja będzie zupełnie zabezpieczona, jeżeli otrzyma bezpośrednie pozwolenie na pozostanie w ciągu nocy.

Odpowiedź oficera była stanowcza i taka, jaką nr. 973 przewidywał. — Nikt nie może stąd wyjść przed nastaniem dnia, gdy wielkie wrota zostały już zamknięte. Szeregowiec jednak postępuje słusznie, że się pyta. — Następnie kapitan polecił, aby telefonicznie dano wyjaśnienie do baraków w dolinie co do nieobecności szeregowca oraz wydał rozkaz, gdzie Gumperta tymczasem mają ulokować.

MYŚLIWY W PULAPCE

„Szeregowiec Gumpert” siedział teraz pomiędzy grupą lotników, którzy mieli dyżur nocny (o ile tu można było mówić o różnicy między nocą i dniem, ponieważ pracowano w tem podziemiu bezustannie tylko przy świetle potężnych lamp). Lotnicy siedzieli wokół drugiego stołu i posilali się. Jedząc rozmawiali — i Steele doszedł do przekonania, że może się wielu rzeczy dowiedzieć, nie pytając sam o nic.

Lotnik Witz siedział naprzeciwko niego; Steelowi nie podobało się to zbyt, albowiem mogło mu grozić niebezpieczeństwem. Ale główną troską lotnika wydawało się tak wsuwać na swoje miejsce, aby nie zwrócić na siebie uwagi dowodzącego oficera. Niewątpliwie Witz pragnął, aby przypuszczano, że spał w podziemiu w ciągu ostatnich kilku godzin tak samo, jak jego wszyscy inni towarzysze.

Tymczasem rozmowy lotników toczyły się wokoło rzeczy, które ich najbliższej obchodziły. Ludzie ci świeżo przybyli z rozmaitych obozów i lotnisk i wymieniali ze sobą wiadomości „stamtąd”. Naturalnie wielu rzeczy nie domawiano jako lotnikom powszechnie znanych — wielu rzeczy też Steele musiał się tylko domyślać przez porównanie. Lecz pomiędzy żarcikami, dowcipami, świństwami, które sobie opowiadano, prześliznęło się czasem coś zasadniczo dla Steele’a interesującego. Między innymi była mowa o tem, że w ciągu tej nocy wielka flota powietrzna opuściła wybrzeża Bałtyku, aby zgromadzić się na lotnisku Sakrow pod Berlinem. Nie wymieniano oczywiście dokładnej liczby samolotów, ale miało się wrażenie, że chodzi tu o wiele setek. A potem zrobiono aluzję do potężnego żartu, na jaki sobie pozwolił rząd niemiecki trzy lata temu wobec Europy, zarządzając ćwiczenia samolotów pod firmą „Ligi sportu lotniczego”...

To był jednak szczegół mniej ważny. Rzecz zasadniczą było, że coraz to wymieniano jakiś inny numer podziemnego lotniska; pytać wszakże ile ich było wszystkich — było naprawdę dla „szeregowca Gumperta” rzeczą zbyt ryzykowną. Zro-

zumiał tylko, że lotnisko podziemne, w którym się znajduje teraz, nosiło numer 7-my — a więc było conajmniej sześć innych. A mogło być ich i dwadzieścia. Po tem podziemiu sądząc, mieściło każde conajmniej dwieście samolotów. A więc we wszystkich tajnych schronach podziemnych mogło się ich mieścić i kilka tysięcy. A wtedy jakiegoż państwa siła powietrzna mogło się równać z tą potężną lotniczą armią niemiecką?

Przypuszczalnie wszystkie te samoloty bombowe były „Zeus”. Były to aparaty, jakich nie miano nigdzie indziej. Europa знаła i ich budowę i zalety: potężne czteromotorowe, opancerzone stalą, z wysuwaniem skrzydełami, o szybkości 400 przeszło kilometrów na godzinę, o zasięgu około dwóch tysięcy kilometrów. Każdy naładowany olbrzymią ilością bomb, które lekkie naciśnięcie pedału przez lotnika zrzuciło na dół, zbrojne w liczne karabiny maszynowe... Okazywało się, że Niemcy w swój zwykły, umiejętny sposób utworzyli tajnie siłę powietrzną, nie mającą równego sobie przeciwnika...

„Szeregowiec Gumpert” — czyli Steele albo nr. 973 — słuchał i powoli dowiadywał się coraz więcej. Zainteresowanie jego wzrastało. To też gdy w pewnym miejscu rozmowy nie zrozumiał dokładnie wzmianki Witz o jakimś składzie benzyny w Hannoverze, o którym chciałby wiedzieć coś więcej, najnaturalniejszym tonem zapytał o wyjaśnienie. Byłoby wszystko poszło zupełnie dobrze, gdyby nie to, że Witz, odpowiadając mu, wymienił nazwisko Gumpert. Gdy powtórzył je po raz drugi, któryś z pozostałych lotników zauważył:

— Gumpert? To nie jest Gumpert. Pan daje swemu koledze niewłaściwe imię...

Steele na to tylko pogodnie się uśmiechnął: przewidywał on podobną sytuację i był na nią przygotowany. Sam skolei zapytał pytającego:

— A kimże, według was, ja jestem?...

— Tego nie wiem. Wiem tylko, że nie jesteście Eugenjuszem Gumpertem...

— No to mylicie się. Możliwe, że znacie mojego brata stryjecznego; nosimy nie tylko to samo nazwisko, ale i takie samo imię. Lecz równocześnie niema chyba na świecie dwóch ludzi, którzyby się bardziej między sobą różnili, niż my.

Ów drugi lotnik zgodził się, że różnica istotnie była duża i przyjął wyjaśnienie spokojnie.

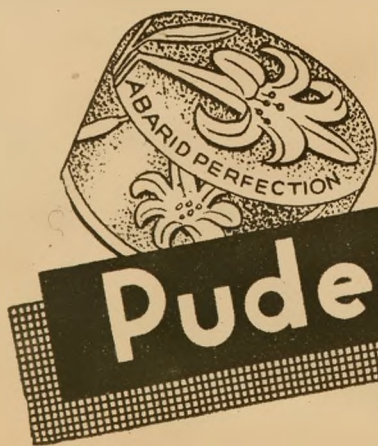
Tymczasem jednak lotnik Witz mileczał. Mileczał i rozważał. Dziwne i groźne podejrzenie obudziło się w jego umyśle. Przeglądał się teraz swemu niedawnemu „pojemcy” krytycznymi oczami. Jeżeli rzeczywiście byli tu w okolicy szpiegi, to kto wie, czy ten nie jest jednym z nich?... Witz przypomniał sobie okrzyk zdziwienia, jaki „Gumpert” wydal, gdy zobaczył samolot „Zeus” i jego podejrzenia rosły.

Ale równocześnie budził się w nim niepokój, a raczej strach. Strach ten kazał mu raczej milczeć — choć podejrzenie nakazywało mu mówić. Jak tu jednak mówić? Nie może nie wyjaśnić bez przyznania się do złamania przez siebie dyscypliny, która tutaj była niezwykle surowa. A jeżeli ten człowiek jest rzeczywiście szpiegiem — to wynurzy się pytanie: dlaczego to on wprowadził go do tajnego podziemnego lotniska — i rzecz może przybrać obrót najgorszy także dla samego Witzę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Karnacja decyduje o pudrze

Puder roślinny, sporządzony ze sproszkowanych cząstek cebulek lilii białej, mialki, dobrze przylegający, nie zatykający porów, nieszkodliwy, o kilkunastu odcieniach, odpowiadających każdej karnacji cery — nadaje skórze pożądaną świeży, młodzieńczy i delikatny wygląd

ABARID
PERFECTION

GŁOS W ETERZE

humoreska ośmiolampowa

— Gdzieś była? — spytał pan Kukułka, sztyletując żonę oczami, oszklonemi, jak inspekty...

— Nie mogę ci powiedzieć, to moja rozkoszna tajemnica... Niespodzianka! — odszczebiotała żona, przykładając palec do miejsca, które przed laty pan Kukułka nazywał buzią.

Pan Kukułka wzruszył ramionami i rzekł obojętnie: — Zresztą, co mnie to obchodzi? Kidnaperzy cię, niestety, nie porwą... I otworzył okno, za którym majaczył ciepły maj.

Okręgå w dwa tygodnie później pan Kukułka zasiadł przy radio-odbiorniku i nastawił na Warszawę.

Hallo! — oznajmił speaker. — A teraz nadajemy recital śpiewaczy słynnej Belli Corelli, śpiewaczki.

Pan Kukułka słuchał ze zdumieniem.

— Co za głos! — mrucał. — Złoto w gardle!

A tymczasem śpiewaczka przypuszczała:

— Gdybym ja była słoneczkiem na niebie, to nie świeciłabym, jak tylko dla ciebie!

Ach, dla mnie! — westchnął pan Kukułka. — Czuję, że zakochałem się w niej na ubój... to jest tego... na zabój!

W dwie godziny później powróciła pani Kukułkowa.

— Gdzieś była? — spytał pan Kukułka.

— Na spacerze!

— To żałuj, żeś nie siedziała w domu, moja droga! Nie masz pojęcia, co za cudowny śpiew słyszałem!

— Skąd? — spytała dama i przyłożyła dłoń do falującego biustu.

— Z rzeźni! — burknął z gniewem pan Kukułka. — Skąd mogłem słyszeć?? Z radia!

— Ale skąd nadawali?

— Nastawiłem na Warszawę, ale może to było z Krakowa.

— Jak się ta śpiewaczka nazywa? — szepnęła pani, przykładając drugą rękę do falującej broszki z napisem: „pozdrowienia z Wenecji”.

— Nazywa się Bella Corelli... Śliczne nazwisko, co?

Pani uśmiechnęła się tajemniczo, jak sfinks.

Po kolacji pan Kukułka sam doradził małżonce, aby udała się do kina i zasiadł przy biurku do napisania listu do — — Belli Corelli...

„Droga Pani!” — pisał pan Kukułka, czując pod sztuczkowymi spodniami drżenie własnych tydek. — „Jestem tak oczarowany głosem pani, że ośmielał się...”

Tu otarł chustką pot z łysiny i dokończył:

„...się prosić pokornie Panią o spotkanie się ze mną w cukierni Chłipskiego, na ulicy Zygmunta Starego, rów Wesolej — jutro, o piątej popołudniu. Sługa — Apolinary Kukułka”.

— Szaleniec jestem! — mruknął pan Kukułka, liżąc swoim językiem języczek koperty. Ale list wysłał.

Całą noc nie spał, trapiiony *niepokojem* i *niekuchnią*...

— Co ci jest, Polek? — spytała czule żona. — Czy to twój artretyzm?...

Pan Kukułka aż zatrząsł się z gniewu.

— Nie! — krzyknął. — Czuje się świetnie!

— To dlaczego tak się kręcisz i stęskasz?

— Bo rozpaczam, że jestem mężem starej baby! — ryknął pan Kukułka i szybko nakrył się kołdrą.

A nazajutrz od samego rana stroił się, jak na bal. Doszło do tego, że nawet się *wykapał*! Gdy był zupełnie gotowy, *oblał się* perfumami i rumieńcem!

Ach, — szepnął z zażenowaniem — jestem chłopczyk, jak ta lala! Szkoda, że łysiny nie można uczesać z przedziałkiem, bo pocięta z młodych lat, że było mi z przedziałkiem strasznie do twarzy!

Wychodząc, zajrzał do żony. Zauważył, że ona też stroi się starannie.

— Idę na posiedzenie, duszko! — rzekł słodko.

— Idź, kochanie! — odparła żona z szelmowskim uśmiechem. — Ja na spacer. Żonusia idzie *hajt!*...

Pan Kukułka uśmiechnął się sztucznie i wyszedł.

— Hajti, śmajti!... Stara wydra! — rozmyślał, wzburzony. — Dzieciaka zgrywa, a za godzinę obchodzi *stulecie* urodzin!

Nagle roześmiał się:

— No, gdybyż ona wiedziała, *gdzie* ja teraz idę... Dałaby mi *szkołę* z prawami! No, no!

Nonując pod nosem szybko zbliżał się do cukierni Chłipskiego.

Gdy przyszedł, było tu jeszcze pusto wszędzie, głucho

wszędzie. Pan Kukułka zamówił pół czarnej kawy i pił ją, dzwoniąc zębami o szklankę.

— Już kwadrans po piątej, chyba nie przyjdzie! — westchnął. — Ha, cóż, taka *wielka artystka*!...

Nagle — głos zamarł mu w gardle! Do cukierni weszła elastycznym krokiem pani Kukułkowa.

— Zginąłem! Odkryła zdradę! — jęknął nieborak.

A dama szła prosto ku niemu.

— Witam pana! — rzekła z wesołym uśmiechem.

— Pana? Ee, to jest... nie poznajesz mnie, duszko?

— Pan jest Apolinary Kukułka, prawda?

— Tak, a pani? — spytał z przerażeniem w głosie.

— Ja jestem Bella Corelli, sopran koloraturowy!

— A ja jestem Jan Kiepara, tenor! — zawołał ze złością pan Kukułka. — Czyś ty, stara, zwarjowała??

— Bynajmniej! Przecież do mnie pisałeś list, kochanie? Ja jestem Bellusia Corellusia! Posłuchaj tylko... *Gdybym ja byyyla słoneczkiem na niebie, to nie świeciłabym, jak tylko dla cieeebieee!*...

— Och, ten sam głos, więc to ty???

— A tyś o tem nie wiedział?? To ty, stary łajdaku, chciałeś umówić się na randkę z *obcą szantrapą*??

Pan Kukułka zbliadł i zastonił się gazetą.

— Przepraszam cię! — krzyknął. — Nie bij mnie! Sama mówiłaś, że gdybyś była słoneczkiem na niebie, to byś świeciła tylko dla mnie!

— Dobrze! Chociaż nie jestem słoneczkiem, będę cię *grzać*, aż miło!...

To rzekłszy, pani Kukułkowa chwyciła wazonik z tulipanem i zaczęła koloraturowo okładać Kukułkę.

A nazajutrz ukazało się w pismach ogłoszenie:

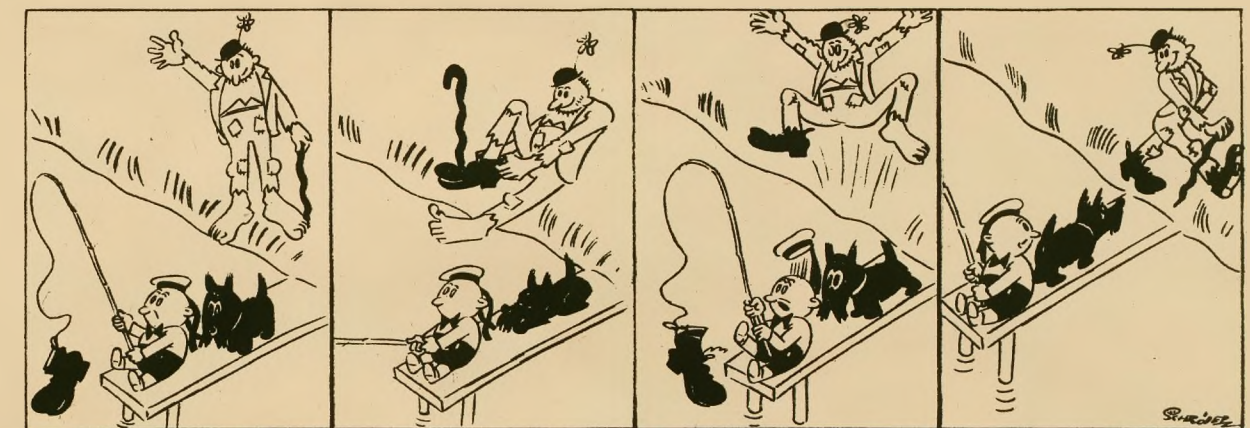
„Radio czterolampowe do sprzedania natychmiast. Apolinary Kukułka, ulica Futbolowa 13”.

Bogdan Brzeziński.

Najwyższy dowód przyjaźni: Niemcy są gotowi oddać nam ostatnią — brązową koszulę...

Temperaturę przyjęć politycznych mierzy się gorącym — przekąsek.

Najlepszym dla nas upewnieniem przyjaźni politycznej naszych sąsiadów jest siła ich — nieprzyjaciół.



BOGDAN BRZEZIŃSKI

TAJEMNICA STAREGO PAŁACU

5 CIĄG DALSZY

Mimo sprawdzenia stopnia przytomności drogą doświadczalną, mniemał teraz młody malarz, że padł ofiarą złudzenia.

Bo któż mógł być piękną niewiastą, lub kim mogła być piękna niewiasta? Rozbiwszy tę kwestję na dwa tak mało od siebie różniące się problemy, rozważał je Staroborski pracowicie, ale nie mógł zagadki rozwikłać.

Wciąż stał u stóp wieży i patrzył w okienko. Po dłuższej dopiero chwili zrobił pożyteczną obserwację, że jest to to samo okienko, w którym wczoraj w nocy widział mdłe światło... To samo, *okrąglone*, okienko!...

Po godzinie, próżnym oczekiwaniu zdecydował się Staroborski na powrót. Przy obiedzie zetknął się z uśmiechniętym plenipotentem.

— Jak się panu spało na — wybaczy pan wulgarnie określenie — na swoich śmieciach? — spytał pan Bela.

— Znakomicie! — skłamał Ryszard.

Podczas deseru Staroborski rzucił pytanie:

— Kto mieszka w *wieży*?

— W *wieży*? Ja!

— Pan?!

— Dziwi to pana? — uśmiechnął się pan Czajos. — Mieszkanie w wieży przeznaczył mi pański dziadek, gdyż sam lubił zajmować wszystkie pokoje.

Po chwili dodał:

— Zresztą, nie narzekam. W wieży mieszka się dosyć wygodnie. Zwłaszcza, że przeprowadziłem gruntowny remont i dokonałem szeregu przeróbek wewnątrz.

— Czy pan ma rodzinę? — spytał nagle Ryszard.

— Jestem kawalerem! — odparł krótko Węgier i już stracił chęć do rozmowy.

Ale młody malarz nie ustępował.

— Czy ta okolica jest niebezpieczna? — spytał. — O ile pamiętam, dawniej nie zdarzały się tu prawie nigdy napady bandyckie.

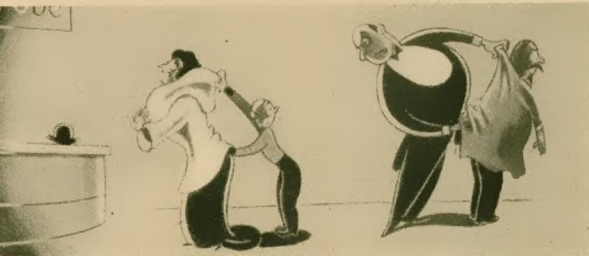
— Dlaczego pan o to pyta? — zdziwił się plenipotent.

NIEMIŁE „RADOSNE ZDARZENIE” W RODZINIE.



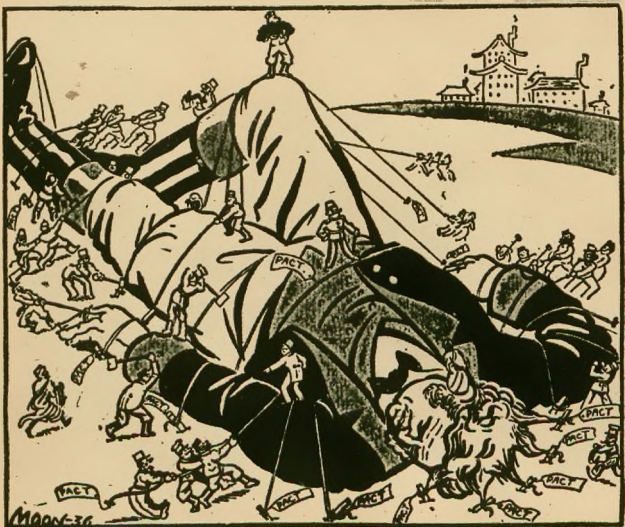
— Jakto — to twój syn?!

TRUDNE NAUKI POZĄTKI.



— Ależ, chłopcze — tego się nie robi u dam!...

ANGIELSKI GULIWIER W WIEŻACH PAKTÓW I LILIPUTÓW.



ROZDZIAŁ VII.

Od strony bramy dochodził stłumiony gwar podniesionych głosów. Ktoś kogoś nie wpuszczał, a ktoś nie zamierzał ustąpić...

Staroborski ruszył wraz z Gawłem w stronę, skąd gwar dobiegał i po chwili ujrzeni dwóch ciemnocich służących, niezbyt cierpliwie perswadujących jakiegoś młodego parze, że pan dziedzic nikogo się nie spodziewa i dlatego nikogo nie mogą wpuszczać...

— Ależ to pan Pszczółka! — krzyknął Gawł z entuzjazmem. — Poznaję go po zadartym nosie i pofalowanych w harmonijkę spodniach!

— A jego towarzyszką to panna Zuzia Gniadoszówna, narzeczona Kajtka!

Pan Pszczółka, ujrawszy przyjaciela, rzucił mu się w objęcia.

— Rysiek! — te draby nie chciały nas wpuszczać!

ROZRYWKI UMYSŁOWE

Termin nadsyłania rozwiązań poniższych zagadek do dnia 30-go maja

WIRÓWKA

ul. K. Wróblewski — Lublin.



Przeskakując stale jednakową ilość pól w kierunku ruchu wskazówki zegarowej, odczytać rozwiązanie.

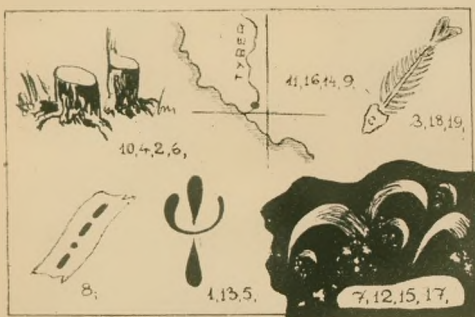
ZAGADKA

ul. T. Myrdak — Bukowsko.

Ma czarny mundur, złote galony, wchodzi do domu, choć nie proszony; gdy w dom twój wejdzie, strach pada na ciebie i już z swem mieniem żegnaj się bracie, bo czy to meble, czy garderoba — wszystko zabiera jego osoba, na nic się zdadzą twe narzekania, wszak on stworzony tylko do brania, możesz bić głową w mur lub o ścianę, wszystko stracone, w rzeczy sprzedane.

REBUSOGRAF

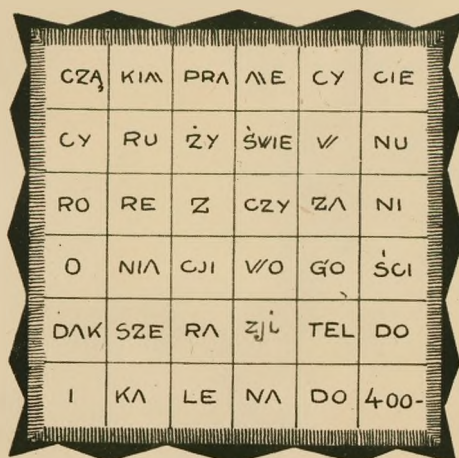
ul. H. W. Dąbrowski — Kowel.



Odgadnąć obrazki i następnie układać litery według kolejności liczb, odczytać rozwiązanie.

KONIKÓWKA

ul. H. W. Dąbrowski — Kowel.



Posuwając się ruchem konika szachowego, obejść wszystkie pola i odczytać rozwiązanie.

REBUS

ul. A. Wittersheim — Lipno-Warsz.



Za rozwiązanie dwóch z pośród niniejszych zagadek redakcja przynajmniej sześć nagród w postaci książek beletrystycznych; rozwiązania należy nadsyłać w terminie oznaczonym w nagłówku z dołączeniem kuponu, znajdującego się na str. 11-tej, z podaniem dokładnego adresu.

ROZWIĄZANIE ZAGADEK Z NRU 15.

LAMIŁÓWKA REBUSOWA.

Wór, udo, lek, łm, luk, era, a, are — wspak, jak, ein, ara, Ewy, sum, asy, lak, lin, gaz, oko: „Wesołego Alleluja”.

PISANKA.

Wir, Ewā, San, oko, łom, era, gaz, oda, ara, lin, jak, elf, lek, udo, jar, akt: „Wesołego Alleluja”.

KOŁÓWKA.

Wisła, Eubea, sosna, orzeł, lania, Erato, gumno, ochra, antyk, lalka, lemur, egzul, Loara, ugier, jelen, agat, żart, Yang, cera, zaim, Ymir.

lipa, ikra, cela, Zoil, nawa, Eros, juki, bela, rafa, arka, cent, igła, sowa, zona, ale, rak, Agn, Don, osa, wir, era, jak, ara, Ulm, to, Ob, Ra, ka, as: „Wesołego Alleluja” życzę licznej braci szaradowej — Autorka”.

FIGURA MAGICZNA.

K O S
A R E
B G P
K A R J A T Y D A
O R G A N I S T A
S E P T I M A N A
Y S A
D T N
A A A

SZARADA POLITYCZNA.

Zebrek (ze — brak).

KRZYŻÓWKA.

Poziomo: 1) kukulka, 4) boa, 5) kantata, 9) dywizja, 13) rad, 15) demon, 17) ara, 18) gu(z), 19) jar, 20) Wag, 21) Pan, 22) on, 24) Sekwana, 28) djak, 29) dorożka, 31) ambicja, 31) Yerydzi, 37) fez, 38) lubin, 39) torby, 40) tor;

Pionowo: 1) kategoria, 2) ładunek, 3) akcja, 4) balast, 6) nora, 7) alt, 8) rafinada (wspak), 9) dowódca, 10) Wawel, 11) Ira, 12) zagon, 14) aga, 16) ninfka, 23) bożyszcze, 24) skrupuły, 25) adjutant, 26) noś 27) sad, 30) k. e, 32) akurat, 33) Pol, 35) ufa, 36) Amor.

Nagrody za rozwiązanie zagadek z Nru 15-go otrzymali pp. H. Alberski — Skarżysko-Kamienna; Nika Chowańcowa — Stanisławów; Jerzy Kalewicz — Kielce; Jadwiga Kwiekwa — Dobrzelin; Eugeniusz Leksa — Częstochowa oraz Józef Pagowski — Prokocim. Wysyłka nagród nastąpi w najbliższym czasie.

REDAKCJA DO CZYTELNIKÓW

WP. WYSOCKA E. — JAROSŁAW: Fotografie zamieścimy w bieżącym konkursie, według kolejności; lepszą byłaby odbitka na gładkim, lśniącym papierze, w tonie czarno-białym, otrzymana przez nas jest sopjowa-matowa; kupony (obojetne z którego numeru tygodnika) wypełnia się nazwiskami dzieci wybranych przez głosujących czytelników. Kupony do 19-go numeru włącznie należą do konkursu I-go; natomiast kuponami począwszy od Nru 20-go można oddawać swe głosy na dzieci konkursu II-go.

WP. SZOSTAK F. — MOSZCZANICA: O ile Pan posiada lepszą fotografię, prosimy o nią; odbitka nadesłana nam, niezbyt do reprodukcji się nadaje.

WP. DROZDOWA K. — OSTRÓW WLKP.: Jak wyżej.

WP. KOWALEWSKI Z. W. Z. — RÓWNE: Dziękujemy, nie reflektujemy. Radzimy zwrócić się do firm nakładczych, bliższych informacji udzieli każda księgarnia.

WPP. MYŚLIWIEC J. — PARYŻ; GROCHOWSKI F. — HRUBIEŚZÓW; WĘGRZYŃSKA W. — DĄBRÓWA GÓRNICZA; TABINSKI A. — CIESZANÓW; MASŁOWSKA J. — ŻYWIEC; KOMAREK J. — SOSNOWIEC: Fotografie dzieci zamieścimy w bieżącym konkursie w kolejności, w jakiej otrzymaliśmy.

Zadziwiająco
Nowe Piękno
skóry

Nie tylko skóra twarzy, szyi i rąk Pani, lecz także skóra całego ciała staje się cudownie gładka i delikatna, po przyjęciu orzeźwiającej kąpieli tlenowej. Należy najwzyczajniej dodać tyle Saltrat Rodell do wody, by przybrała ona wygląd mleka. Natychmiast wydziela ona tysiące drobnych baloników tlenowych i wprowadza sole wzmacniające do każdego poru skóry. Wydzieliny ciała i brud są rozpuszczone aż do głębi porów, gdzie woda i mydła nie mogą dotrzeć. Wągry same odpadają. Rozszerzone pory ściągają się i skóra staje się gładka i delikatna jak aksamit. Zmęczenie znika, nerwy są odprężone, a ból ustępuje z wrażliwych i zbolaty mięśni. Skóra w ciągu 3-ch minut pobudzona jest do nowego, promieniejącego, cudownego zdrowia, a Pani czuje się, oraz wygląda, o 10 lat młodziej. Nie należy mylić Saltrat Rodell ze zwykłymi solami, które nie mają tych wzmacniających właściwości. W sprzedaży pod gwarancją w aptekach, składach aptecznych i perfumeriach. Koszt jest nieznaczny. Skład główny: L. Nasierowski, Warszawa, Kaliska 9. 130

Młoda para przedelfowała dumnie okok pokonanych służących i niebawem cała czwórka zasiadła w pokoju, który dawniej był gabinetem starego dziwaka.

— Gadajcie, skąd się tu bierzecie! I to razem! — podkreślił malarz.

— Rzuciłem rodzicom Zuzi rękawicę! — westchnął kompozytor.

— Doskonale, że się tylko tak skończyło! Przecież to oni mieli ciebie zrzucić ze schodów!...

— Uciekłam z domu! — wyjaśniła z dumą Zuzia.

— A... a szanowni rodzice pani?

— Gonią nas!! — jęknął Pszczółka i mimowoli obejmował się za siebie.

— A wy?

— Szukamy u ciebie schronienia...

— Hm...

— To „hm” dowodzi, że jesteś dbały o moralność, przyjacielu — rzekł Kajetan. — Ale nie kłopot się: oto akt złączenia! Ożeniłem się z Zuzią, wbrew woli jej szanownych rodziców, albowiem i Zuzia jest pełnoletnia i ja ozdobiłem ten świat więcej niż przed ćwierćwiekiem... Wobec tego nie mieliśmy trudności prawnych.

— Cudownie! Ale jak to się odbyło?

— Jakie to?... Co masz na myśli? — spytał podejrzliwie mistrz tonów.

— No, z tym ożenkiem. Więc papa Gniadosz nie chciał ustąpić dobrowolnie?

— Człowieku! — uśmiechnął się gorzko Kajetan Pszczółka. — Jakich ja środków nie używałem, żeby zmiękczyć to kamienne serce!...

— Kajteczek! — wtrąciła małżonka — obmawiasz papcia, zdaje się...

Kompozytor zreflektował się:

— ...żeby zmiękczyć to kamienne serduszek!...

Wyszedłszy wieczoraj od ciebie, udałem się, mimo obawy o swoją całość, do rodziców Zuzi. Gadałem cztery go-

dziny. W ustach mi zaschło. Oczy mi zasły mgłą, w uszach mi szumiało, czułem, że słabnę — ale gadałem.

— Panie Gniadosz, — mówiłem — zgódź się pan, oddaj mi pan córeczkę za małżonkę!

— Odczep się, przyjacielu! — odparł mój teść. — Mało to innych dziewcząt, musi być koniecznie Zuzia?

Wtedy ja dałem mu taki przykład:

— Niech pan sobie wyobrazi, panie Gniadosz, — powiedziałam — że pański klient, który stale u pana bierze serdelki i tylko pańskie serdelki mu smakują, słyszy od kogoś takie zdanie: „Czy to tylko jedno serdelki na świecie? Muszą być koniecznie od Gniadosza?” Co pan myśli, jak odpowie taki klient? Odpowiedź: „Tak! Tylko od niego!” To kiskzologa udobruchało. Ale nie ustąpił.

— Lubię pana, panie katarzyniarz, — powiedział na zakończenie — ale jesteś pan fujara, więc nie zwracaj pan gitary, bo byle cymbałowi Zuzi nie oddam!

— Uważasz, Rysiu, jak mi dogryzł: trzy instrumenty zastosiował — fujarę, gitarę i cymbały — żeby mi dokuczyć.

Staroborski śmiał się do łez.

— Śmiej się, śmiej się! — mruknął pan Pszczółka. — Jak się dowiesz końca, to przestaniesz się śmiać!...

— No? — ciekawie spytał malarz.

— Wyobraź sobie, że matka Zuzi, a moja obecna teściowa, była naszą sojuszniczką...

— Doprawdy?!

— Tak... Bo opowiedziałem jej, że mam majątek rodzinny i to jej zaimponowało. „Zawód to masz pan la-dajaki, ale co majątek, to majątek!” — powiedziała mi kiedyś i od tego czasu całkowicie nam sprzyjała. Doszło do tego, że skrycie dała na zapowiedzi... I właśnie wieczoraj miał być nasz ślub. Dlatego też ze wszystkich stron naciskaliśmy na papę, żeby się dobrowolnie zgodził i żeby potem nie było awantury. No, ale ponieważ nie chciałem słyszeć o kompromisie, wobec tego ślub nasz

odbył się w tajemnicy, wieczoraj o czwartej popołudniu. Byłem u ciebie z zaproszeniem na tę uroczystość, ale po tobie nie było już nawet śladu. Po ślubie nasza „małteńka” powiedziała słodko: „Kochane dzieci! A teraz powiemy tatuniowi o waszym ślubku i razem pojedziemy wszyscy na wakacje do twojego majątku rodzinnego, Kajtusiu!...”

Kajetan Pszczółka otarł pot z czoła i ciągnął dalej:

— Możesz sobie wyobrazić, ile mnie to zdrowia kosztowało, gdy musiałem kochanej teściowej wyjaśnić, że nie tylko tatuś, ale jeszcze bardziej ona została wystrychnięta na dudka!...

— Wyobrażam sobie — stwierdził Ryszard.

— No, a widzisz! Jestem z zawodu muzyk, a nie kręta-cz. To też piętnaście razy przełknąłem ślinę, zanim wyrzekłem te straszliwe słowa: „Mamo droga, ja nie mam rodzinnego majątku! Cztery metry kwadratowe gruntu zajęte przez nieboszczyków ziemi na cmentarzu — oto moje dobra rodzinne!”

— A teściowa na to?

— Mało mówiła. Krótko oznajmiła: „Idę po papcia! Niech i on usłyszy ten twój dowcip o cmentarzu!...”

— I cóż papa?

— Czy sądzisz, że czekałem, aby z nim pogadać? Wziąłem Zuzię pod pachę i, otrzymawszy kartkę, wysłałem przez ciebie z dworca, objaśniającą, dokąd wyjeżdżasz i co cię spotkało — zdecydowałem, że ty jeden pozwolisz nam żyć! Bo papa Gniadosz napewno życzy mi śmierci! No, ale tu odetchniemy pełną piersią! — zawołał radośnie, rozglądając się z rozkoszą po wygodnie urządzonej sypialni.

— Wątpię, czy tu będzie tak rozkosznie! — szepnął do ucha malarzowi Gawel, uśmiechając się ponurym uśmiechem podsądne, który spodziewał się wyroku na trzy miesiące domu poprawy, a otrzymał pięć lat ciężkich robót.

(ciąg dalszy nastąpi).

„NA SZEROKIM ŚWIECIE” wychodzi co tydzień w Krakowie, Warszawie, Lwowie, Poznaniu i Wilnie.

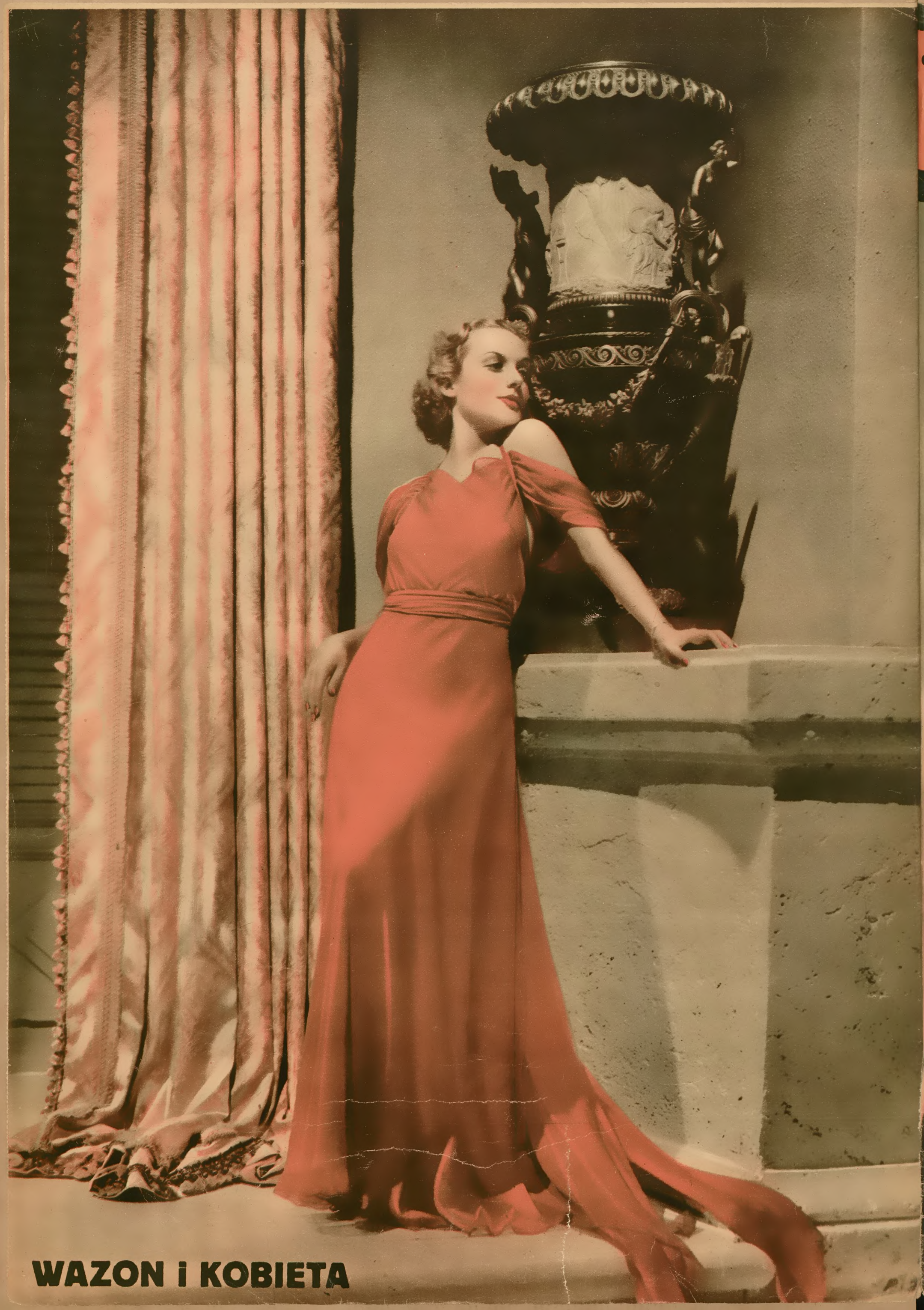
Wydawca i redaktor naczelny: MARIAN DĄBROWSKI.

Kierownik literacki: STANISŁAW MRÓZ.

Redaktor odpowiedzialny: ANATOL KRAKOWIECKI.

Adres Redakcji i Admin.: Kraków, ul. Wielopole 1. „Palac Prasy”. Tel. Redakcji Nr. 150-60. w nocy: 150-61, 150-62, 150-63. Oddz.: Warszawa, Krak. Przedm. I, 9, tel. 551-90, 551-91, 551-92. Lwów, Kopernika 9, tel. 211-08. Poznań, św. Marcin 18, tel. 17-22. Wilno, Wileńska 26, tel. 11-82. 166. Katowice, Mariacka 13, tel. 306-53, 325-25. Łódź, Zawadzka 1, tel. 167-08. N. Sącz, Jagiellońska 29, tel. 94. Sosnowiec, Pilsudskiego 8, tel. 11-99.

CENA POJEDYŃCZEGO Nru 30 GROSZY.
PRENUMERATA KWARTALNA WYNOŚI 3 ZŁ. 50 GR.
Ceny ogłoszeń: strona dzieli się na 4 łamy, szerokość 1 łamu 80 mm, 1 milimetr w 1 łamie kosztuje 50 groszy. Cała strona 720 zł. — Konto czekowe 408.600.



WAZON I KOBIETA